№ 2 Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1882 roku.




# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



# POETA CZESKI

## BOHUSZ FRIDA (JAROSŁAW WRCHLICKI).

Przez

**Sewerynę Duchińską.**

W jednym z ostatnich numerów „Tygodnika" wyczytaliśmy ciekawe sprawozdanie z bieżącej literatury czeskiej, oraz pocieszającą wiadomość o plonach tak skrzętnie zbieranych na tem polu, które acz długo leżało odłogiem, dziś zato coraz bujniejsze zapowiada żniwo.

Do licznych imion przytoczonych przez autorkę, dodamy jedno jeszcze imię, gorąco zalecone nam przez poetę czeskiego Kwopila, imię Bohusza Fridy, który ogłasza utwory swoje pod pseudonymem Jarosława Wrchlickiego. Tego pełnego talentu poetę uczcił niedawno p. Wacław Gasztowtt obszerną rozprawą, odczytaną na zebraniu Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, przeplataną pięknemi ustępami z jego poematów, przełożonemi na język polski. Tę rozprawę podajemy tu w treści.

Bohusz Frida, autor niezliczonych poematów i pieśni, nie dobiegł jeszcze lat trzydziestu.

Urodził się 16 lutego 1853 roku, w Lonnech w Czechach północnych. Ojciec jego był kupcem. W latach dziecinnych poeta wychowywał się w domu stryja proboszcza wiejskiego. Gdy miał lat dziesięć, oddano go do gimnazyum w Slanem, dalsze nauki pobierał w Pradze. Przetrwał tam jak sam powiada, cały *svietobol*, całą boleść jaką świat daje zrozpaczonym Hamletom i Werterom. Walczył z ciągłą niemal chorobą, walczył z potrzebami życia praktycznego, walczył nakoniec z duchem własnym, szarpiącym się rozpaczliwie. Oddźwięk tych młodzieńczych walk, znajdujemy w pierwszym tomie jego poezyi p. t. *Z hlubin* (Z głębin).

Wstąpił chwilowo na wydział teologiczny, ale poezya rwała go do siebie niezwyciężoną siłą. Zmuszony pracować na chleb, począł sposobić się na nauczyciela historyi i geografii w gimnazyum, z tą myślą odbywał kurs uniwersyteckich nauk. Dnie schodziły mu na poważnych studyach, nocami czytywał poetów; nieraz chwytał pióro, rzucał na papier palące zwrotki, wylewał w nich gorycz trawiącą jego serce. Tak upłynęło lat trzy. Szczęśliwy zbieg okoliczności wyrwał go z tych udręczeń. Powołany na prywatnego nauczyciela przez rodzinę Montekukulich, puścił się z nią w daleką podróż. Zimę 1875 r., przepędził w Liwurno, lato w górach i na wycieczkach do północnych miast włoskich. Byłby dłużej pozostał na Południu, ale ofiarowano mu redakcyą dziennika illustrowanego *Svetozor*. Nie przyszło to do skutku; poeta wrócił znów do zawodu profesorskiego w Instytucie nauczycielskim w Pradze. Wkrótce potem zawakowało miejsce sekretarza przy czeskiej Technice, otrzymał je w roku 1878 i zajmuje dotychczas. W rok potem pojął w małżeństwo córkę znanej autorki Zofii Podlipskiej, odtąd żyje spokojnie w wytrwałej pracy, która jak mówi, stała się dla niego najwyższem na ziemi szczęściem.

Takim był dotąd krótki bieg życia poety czeskiego; przypatrzmy się teraz jego poetycznym utworom.

Pierwsze poezye Wrchlickiego, nacechowane silnie pessymizmem. Zbiór p. t. *Z hlubin*, wydany w r. 1875, jest rzec można rozpaczliwym wykrzykiem. Poświęcił je autor pamięci Witezlawa Halki, poety rokującego wielkie nadzieje, zmarłego w rozkwicie talentu.

„Dla mnie, pisze Wrchlicki w przedmowie, przyroda była zwierciedłem smutku mego. Jam ją ukochał, jak więzień kocha szum potoku po za oknem więzienia; jam z nią gwarzył, jak on gwarzy z cieniami przesuwającemi się po murach."

Każda pieśń podzwania westchnieniem i skargą żałosną. Ani wiara, ani miłość nie zdołają zaspokoić udręczonego serca. Młodzian uśmiecha się tylko do nauki i poezyi, a rzewniej jeszcze uśmiecha się do matki; woła do niej z uczuciem:

O matko! za sny na twojem łonie,
Oddałbym wszelkie pragnienia sławy!

Pierwszy zbiorek pomimo niedostatków i nużącej jednostajności, zwrócił jednak powszechną uwagę rozsianem tu i owdzie odblaskiem poezyi. Promyk sławy zabłysnął poecie: pod jego czarem pierzchły smutki; pessymistyczne zwątpienia stopniały, jak lód topnieje pod ciepłem tchnieniem wiosny.

W rok potem 1876, ukazał się drugi tom utworów Wrchlickiego p. t. *Epicke Basne*, całkiem od pierwszego odmienny. Są to romanse i ballady zaczerpnięte z najrozmaitszych podań: skandynawskich, bretońskich, rzymskich, francuzkich i t. d.

Obok ballady o Ludwiku XV-tym, *Ślepy hudei* (skrzypek), widzimy tu hiszpańskie romanse o *Donnie Klarze* i *Donnie Elwirze*. Do tego koncertu wmieszała się izraelska legenda pełna oryginalnej barwy; bohaterem jej Rabin Ben Akiba; oto jej początek:

Dawno słońce zeszło, we mgle miasto leży,
A czarna zorza spływa z jego wieży.

Ku bramie młodzieniec wolnym stąpa krokiem,
Na miasto rodzinne smutnem patrzy okiem.

Smutnaż jego postać, jak wosk cera blada,
Na lica włos kruczy pierścieniami spada.

W bramie figa rośnie, gdzie uścisk mu dała,
Już temu lat dziesięć, czyż wierną została?

A wspomnienia rzewne, gdy się w nich zanurzy,
Ku młodości lecą, jak ptaki z podróży.

Ten wędrowiec, to Ben Akiba. Przed laty dziesięciu ukochał on córkę mistrza swego Rabina Azala. Wygnany z domu, błąkał się długo po szerokim świecie.

Chodził puszczą, lasem, na ruinach siadał,
I ślady przeszłości ojców swoich badał.

Te ślady ich sławy, myśli, błędów ludu,
Jako pilna pszczoła znosił do talmudu.

I powraca wreszcie z Jeruzalem; serce jego rwie się do pięknej róży, pyta a córkę Azolową... słyszy z radością że jeszcze niezaswatana. Ojciec po trzykroć skłaniał ją do wstrętnych związków, lecz ona pozostała mu wierną.

Nosi czarne szaty, nie przemówi słowa,
Lub wyrzecze: jestem Ben Akiby wdowa!

Słyszy to Akiba, szepcze ze łzą w oku:
Czy wiernie doczeka dwudziestego roku?

Aż dokończę dzieła, jak mi nakazano,
Nie domówił, poszedł, nim zabłysło rano.

I znów upłynęło lat dziesięć, a Ben-Akiba stąpa znów ku miastu. Lata i trudy wycisnęły piętno na obliczu wędrowca.

Włos zakwitły srebrem, ze skroni się toczy,
Powagą proroka błyszczą ciemne oczy.

Wiele widział, zaznał, mnogo przeszedł kraju,
Zobaczył Jehowy płomień na Synaju.

Przeszedł ziemię ojców, dumając w pokorze,
Od libańskich cedrów po Czerwone morze.

Widział Egipt, sypiał między obeliski,
Sądził, że jest celu swej podróży blizki.

I duch jego podniósł się wysoko, myśl coraz szerszą ogarnia przestrzeń, a serce zwraca się zawsze do pięknej róży. Pyta niespokojnie, czy też wierną mu była? I słyszy iż umarł Azal stary, że przed śmiercią wydziedziczył córkę.

Ona opuszczona, gdy ją bieda gniecie,
Strzyże włosy swoje, pierścienie z nich plecie.

Płacze we dnie, w nocy, nie przemówi słowa,
Lub wyrzecze: jestem Ben Akiby wdowa!

Słyszy to Akiba, szepcze ze łzą w oku,
„Daj mi Bóg doczekać trzydziestego roku.

„Mnie woła me dzieło tajemniczą mocą."
Nie domówił, poszedł jeszcze przed północą.

I znów upłynęło lat dziesięć, i znów Akiba starzec srebrnowłosy, z głową ku piersi pochyloną, ale z czarnem okiem błyszczącem jak za młodu, spieszy do rodzinnego gniazda. Przedeptał już świat cały:

Ujrzał stary Babel, nad Gangiem się zjawił,
W postach i modlitwie noce wieszcze trawił.

Aż poznał ukryte przed nim tajemnice, zrozumiał nakoniec:

Że przyroda cała błyszczy w ręce Bożej,
Jak róża, gdy dziecię na dłoń ją położy!

Mędrzec kroczy do miasta, a sława ulata przed nim na złotych skrzydłach. I tłumy biegną ku niemu; powrót jego tryumfalnym jest pochodem. Przestępuje wreszcie próg synagogi, spostrzega tam modlącą się niewiastę:

Siwe już ma włosy, a na twarzy bladej,
Na czole i w rysach, dawnej krasy ślady.

Ben Akiba stanie: Boże! czyż to ona?
A córka Azala pada mu w ramiona.

Starzec nie porzuci już miasta, uściele sobie ciche gniazdo, z siwowłosą jak on małżonką, i szczęście domowe zamieszka pod ich dachem, róża rozkwitnie im z pod śniegu. I mędrzec woła w uniesieniu radości:

Oglądałem Boga, wśród długiej podróży,
Mówił do mnie głosem piorunów i burzy.

I w duchu go ludzkim, me oczy widziały,
Lecz w twej mi wierności objawił się cały.

Inne pieśni tego zbioru równie oryginalne. Poeta bierze do nich rozmaite pobudki, to średniowieczne podania z epoki napadu barbarzyńców, to znów jakieś ludowe baśnie. Z tych ostatnich wysnuł tryskający życiem poemacik, o zemście Cygana, który jako skrzypek wdziera się podczas uczty do pańskiego zamku; na szaloną nutę, przygrywa do taktu z poszczękiem puharów, a gdy biesiadnicy zasnęli twardo za stołem, rzuca skrzypki, pochwyca głownię, puszcza z ogniem zamek, mszcząc się za dawne krzywdy.

Zakończa ten zbiór fantastyczny poemacik p. t. *Satanella*, pełen świeżego wdzięku. Tak rozpoczyna go poeta:

Jako promień księżycowy,
Srebrzy ciemny gruz zamczyska,
Jak się motyl jasny wciska,
Nocą w czarny las jodłowy,
Jak do czary zaśniedziałej,
Złota kropla wina spłynie,
Tak w głąb duszy mej zbolałej,
W głuchą piersi mej pustynię,
Targnął promień łaski Bożej,
Kropla pieśni spadła słodko,
Zbłądził motyl...

Mimo piękności niezaprzeczonej, zbiór *epickich Basni* wywołał surową krytykę. Zarzucano Wrchlickiemu że opuszcza grunt narodowy, a zbiera kwiaty poezyi na dalekich jakichś polach, zamiast uprawiać niwę swojską, jak radził niegdyś Kollar. Nazwano poetę *Cizakiem* (cudzoziemcem). Nie zraziło go to bynajmniej, poszedł obraną drogą, pełną piersią czerpał poezyą z obcych krynic, w przekonaniu, że rozszerzając koło twórczych natchnień, służy tem samem literaturze ojczystej. W tymże jeszcze roku 1876, wydał przekład poezyi Wiktora Hugo i niektóre utwory Leopardego. Nie poprzestając na tem, przysłał z Modeny nowy zbiorek oryginalnych pieśni p. t. *Sny o stesti*, (Sny o szczęściu). Jak pokazuje sam tytuł, poeta ożywiony podróżą, wyzwolił się z więzów rozpaczliwego pessymismu. Słyszy, jak mówi, głos ptaków, szmer strumieni, poszept kwiatów wołających nań: „tu możesz znaleźć szczęście!" I z pod pióra jego wybiegają coraz to nowe *serenady* i *barkarolle*, coraz nowe dzwonią *sonety*.

W roku 1877, pod czarem włoskiego nieba, wyśpiewał obszerny poemat p. t. *Vittoria Colonna*; występuje tu Michał Anioł Buonarotti. Utwór ten nienarodowy, znów wywołał skargi krytyków, ale zewnętrzne wrażenia zbyt silnie działały na poetę, nie zdołał im się oprzéć. W następnym roku *Legenda wieków* Wiktora Hugo dała mu pobudkę do nowego utworu: *Duch a świat*.

Obszerny ten poemat składa się z czterech części. W pierwszej p. t. *Ohlasy z prawieku* (Odgłosy z pierwotnych wieków), poeta opiewa dzieło stworzenia, ziemię, komety, pierwszą ofiarę, tęczę, anioła, i zamyka rzecz mytem o starym Czarodzieju, który stoi od wieków na Araracie, patrzy na kolejny pochód pokoleń, dzieli ich myśli i uczucia, i raz poraz wysyła złote ptaki, mythy, na miasta i na pola, na zamki i na strzechy; daje siłę małym, odwagę słabym. Druga część nosi tytuł: *Heleńskie motiwy*: występują tu Satyry, Pytye, Centaury i inne mythy greckie; kończy ten dział hymn żalu nad zmarłą Helladą. Trzeci dział, obejmuje ośm legend średniowiecznych; tytuły ich: *Twarz Judaszowa, Wiosenny śpiew Ahaswera, Wygnańcy, Antychryst, Kłosy ubogich, Na progu Rajskim.* Czwarta część ma tytuł *Problemy*. Rozpoczynają pieśń o *Geniuszu*.

„Dalej! naprzód! woła poeta do myślicieli, śmiało zdążajcie naprzód! Kto poświęca się służbie, ten pomaga nosić krzyż Bogu swemu!" W poemaciku *Dwa głosy*, podzwania kolejno głos *wiary* i głos *przyrody*. Pieśń *Switanie* opiewa pierwszy odbrzask dnia miłości i mądrości ludzkiej, poczem idzie *Upadek szatana*. W końcu następuje *Epilog:* jest to hymn przyszłych pokoleń, hymn wiary w przeznaczenie ludzkości, która musi zdobyć nakoniec prawdę.

Poeta nie ujrzał blasku tej upragnionej prawdy; myśl jego plącze się w chaotycznych marzeniach, ale sama pogoń za wielkim ideałem wyróżnia go już z liczby pospolitych umysłów. Też same walki ducha, zwątpienia i nadzieje wyśpiewał on w innym zbiorze poezyi, p. t. *Symfonie*, (1878 r.), poświęconym pani Zofii Podlipskiej. Objęte w nim pieśni: *Głos na puszczy, Zerwana struna, Sąd, Duch samotności* i t. d., są to liryczne dumania nad przyrodą, nad pięknem, nad człowiekiem, i powołaniem jego na ziemi, pełne odblysków poetycznych.

*(D. n.)*

---

## Było ich dwoje...

(Obrazek z przeszłości.)

### I. NA PROGU ŻYCIA.

I poznali się oboje —
Gdzieś przypadkiem na ulicy,
On miał dumę w swej źrenicy,
Ona czarnych ocząt dwoje,

On miał wąsik czarny lśniący,
Pod nim usta koralowe...
Ona uśmiech czarujący —
I wejrzenie niesurowe.

On gimnazyum kończy z chwałą,
Ona uczy się w pensyonie;

Dalej nie wiem jak się stało,
Że podali sobie dłonie!

Mój aniele, kocham ciebie!
Powiedzieli sobie wzajem,
I na ziemi niby w niebie,
Chwilki szczęścia zbiegły rajem.

II. W PEŁNI ŻYCIA.

Ona piękna... i w salonie,
Rzuca słówka słodko-smętne.
Na jej licach ogień płonie —
Ale serce... obojętne! —

Przy niej roje dziarskiej młodzi,
Tysiąc ust się do niej śmieje,
Lecz dziewica wszystkich zwodzi,
Choć zostawia im nadzieję.

Ona marzy i przebiera,
Duma chłodno o swym losie,
Bo chce złapać milionera,
Co posiada krocie w trzosie.

* * *

On... zapomniał o dziewicy,
I swobodą już się cieszy,
Już używa zagranicy,
Kultregerów szykiem śmieszy.

A zażywszy w obfitości —
Zagranicznej słodkiej manny,
Wraca potem do swej włości,
By posażnej szukać panny!

III. U KRESU ŻYCIA.

Ona stara, zgięta troszkę...
Już się szczęścia nie spodziewa,
Robi smutnie swę pończoszkę,
I tabaczkę wciąż zażywa.

A wspomniawszy o mamonie,
I o owym milionerze.
Chyli kornie zwiędłe skronie,
I odmawia swe pacierze.

Lecz gdy duma o miłości,
O minionej snów krainie,
To łza bólu i zazdrości
Po zmarszczonem licu płynie.

* * *

On... jak zwykle wszyscy starzy,
Paląc fajkę u komina —
O minionych latach marzy,
I swą młodość przypomina...

Na kominie ogień płonie,
A on, w płomyk zapatrzony,
Wnet zasypia rozczulony,
Nucąc piosnkę... o Filonie.

*Kazimierz Lechnicki.*

Kijów.

# IL POLACCO.

NOWELLA

przez

**Bogumiła Aspisa.**

(Dalszy ciąg.)

Ten dziwny obraz otrzeźwił go nagle, wspiął się całą wolą napowrót ku górze! zapragnął znów trudu — pracy — męki — życia i... po to życie wypłynął znów na wierzch!

I — — płynął dalej.

Przebył tak znowu kawałek morza...

Lecz wiatr, z początku lekki zupełnie, zaczynał coraz mocniej marszczyć wód powierzchnię. Bryłki piany toczyły się coraz większe — coraz większe fale pluskały o siebie i — pływak nasz, w walce z niemi, zaczął przybierać postać: mocującego się rozpaczliwie z wyższą siłą atlety!

Fala go uderzała szeroko po twarzy — on jej oddawał ręki zamachnięciem, że bryzg aż biały szedł z pod niej po wodzie!... fala go przechylała w tył całem ciałem — on ją porywał obydwoma ramionami i... przecinał na dwoje, złorzecząc jej jeszcze!...

Przeszedł mu cały kwadrans na tych zapasach, z wrażą siłą, którą chciał przemódz koniecznie.

Niestety! wola nasza nie jest dla nas wszystkiem. Pływak nasz uczuł nagle, że go opuszczają siły. Zawrót głowy!... w uszach dzwoni!... w oczach ciemnieje!...

I strach nim owładnął — — nie przed śmiercią wcale... o nie!... on jej się nie bał; ale — przed pełznącą nadzieją widzenia tej jeszcze, dla której się puścił w tak niebezpieczną drogę!

Wówczas-to — zbliżając się coraz bardziej na lewo — ujrzał nagle przed sobą wystający z pod wody słup jakiś drewniany, stojący tuż przed nim.

W najgorszej chwili zawadza właśnie o niego i — jak tonący, który brzytwy się chwyta — ujmuje go w kurczące się śmiertelne objęcia!

Zbawiony! — —

Wdrapał się o kilka cali głową na drzewo i — zaczął odpoczywać.

Myśli jego oplątane powracały do porządku — wola zaczęła działać samowiednie — oczy pomału zaczęły poznawać przedmioty...

Wtedy to spostrzegł na najwyższą swoją radość, że dwa rzędy takich samych słupów drewnianych, jak ten, którego się trzymał, — przechodzą morze.

„To dla mnie drogę Bóg zrobił umyślnie!" — zawołał. — Droga do klasztoru! do donny mojej!... Tak!... Czuję to!... Dalej! Aż do śmierci za nią!..."

I — — rzucił się znowu na rozkołysane fale.

Wiatr bowiem, przez czas ten zrobił także swoje na morzu. Toń coraz bardziej czerniła się od głębi do wierzchu... złowrogi wygląd jakiś przybrało jej oblicze... Jakieś błyski przechodziły po niem... jakieś cienie!... Łoskot niewyraźny, zdaleka pochodzący... stukał po morzu!

Pływak nasz ślizgał się dalej po powierzchni bruzd wodnych...

Po kilku chwilach — o nieba! — gdy pierwsza błyskawica olśniła widnokrąg, — on, przez powieki zalewane wodą — przez mgłę, którą cała pokryła się przestrzeń, — w górze — po nad sobą — w niewielkiej oddali — ujrzał wreszcie na białych murach... krzyż sterczący!

Cudowny znaku, któryś świat zbawił!...

„Co mi tam teraz już zrobi burza!" pomyślał. „Dalej!... ile sił mam!... Aby tylko dopłynąć!..."

I — — płynął dalej.

Lecz... ileż razy giniemy u celu!?... ileż razy, — gdy port jest już o krok od nas, — toniemy w przepaści po walce daremnej!?...

Po kilku nowych, większych wysiłkach, — młody uczuł, że wpada napowrót w omdlenie. Ten sam szum w uszach!... ten sam zawrót głowy!... Chwyciła go niemoc tym razem tak nagle, że do słupa nawet, który widział blizko, nie miał już nawet siły dopłynąć!

Cóż go już teraz — co wyratuje? Bo burza, o strasznych, rozczochranych włosach — o dzikiem spojrzeniu, okropna niewiasta — złowieszczy rydwan prowadząc za sobą — i grożąc groźnemi w dłoni piorunami, — idzie bezlitośnym postępem przez morze i coraz to szerszemi bałwanami pryska!

Śpiesz się pływaku.... klasztor niedaleko!...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Bezwładnem ciałem miotają fale...

Siną twarz ma topielec i skórczone ręce... Zmogło go morze!...

Ziębiło go morze — — mimo, że w piersi miał pożar!...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Ile czasu przeszło od owej znowu chwili — mało ciekawa rzecz dla czytelnika.

Widzimy bohatera naszego przed sobą — leżącego na kamiennych szerokich szchodach — owiniętego w płaszcz księży czarny i... otwierającego do połowy oczy.

Wkoło niego krząta się gromadka ludzi, podobnych z odzieży do mnichów klasztornych. Jakiś starzec siwy, dowodzi pomiędzy nimi. Kobieta jakaś lat około 30-tu — bardzo piękna z twarzy i bardzo wdzięczna — klęcząc przy głowie tegoż młodego, jedwabną rączką rozciera mu czoło...

„Hejże! tego zucha wziąć mi teraz do celi! Ubrałem go naprędce w płaszcz własny, — ale widzę, że on odzież nawet ma z sobą swoję. Signore dzięki za jej litościwość!... Chłopiec oczy otwiera... nic mu nie będzie!..."

Takiemi słowami ozwał się po chwili ów starzec, który całej przewodniczył gromadce.

Domyśla się czytelnik, gdzie z nim jesteśmy.

Przeor księży ormiańskich, śpiesząc właśnie z Wenecyi przed nadchodzącą burzą do swego klasztoru, — dojrzał z łodzi człowieka, płynącego bez życia, którym fale morskie swawolnie miotały, i — łódkę zatrzymawszy, kazał go w nią zabrać.

Gdy przybyli — pani jakaś, co stała na progu niespokojna, że burza wstrzymuje jej odjazd, — spostrzegłszy leżącego w gondoli topielca, — natychmiast się rzuciła ku niemu z ratunkiem. Starania jej i innych przybyły jemu w porę.

Młodzieniec zaczął przychodzić do siebie.

Księżom klasztornym, co wyszli na spotkanie przeora, zdało się wówczas to tylko dziwnem, że pani,—zbliżywszy się do wyciągniętego z wody, — wydała z piersi jakby krzyk lekki, wskazujący, że ten jej nie był zupełnie obcym.

Czytelnik z tego domyśli się tem łatwiej, że pani owa nie była inną, tylko tą samą właśnie, piękną donną, którą nasz bohater gonił przez morze!

Lecz czas już — byśmy się z nim bliżej poznali.

III.

*Mio Padre* nie byłem żebrakiem z profesyi. Rodzice moi byli ludźmi dostatnimi i — pierwsze lata swoje jam spędził w wygodach. Z pochodzenia jestem Polakiem, *Mio Padre*, szlacheckiego i nawet dobrego rodu. Przypadek tylko wyrzucił mnie na ziemię, która tylu nieszczęść stała mi się winną.

Gdyby nie pewna kobieta z tego kraju, co umysł ojca mego opętała, — on żyłby może jeszcze dotąd, *Padre*, i pracował na dobro swojej rodziny!... Matka moja nie umarłaby także może!... cierpienia tylko wpędziły ją do grobu!... Biedna kobieta! święta kobieta!...

Pamiętam — jak w jednej z takich samych gondoli, przy których ja przed rokiem na chleb żebrałem, — przypłynęliśmy, w skwarne pewnego dnia południe do brzegu Placu Ś-go Marka i — jak dwie prawdziwie opuszczone sieroty, zaczęli się dopytywać o mieszkanie ojca. Matka — widzę ją jeszcze teraz jakby żywą! — miała czarne na sobie, żałobne ubranie... Twarz jej biała, jak alabaster, przeglądała smutnie z pod szerokiej, spadającej do ziemi, zasłony i... cała jej postać, dziwnie lekka i wiotka, zdawała mi się wówczas tak nadzwyczajnie piękną, żem — chłopiec ośmioletni, pomyślał sobie:

„Kiedy tatko mamę taką zobaczy, — to on jej nigdy od siebie już nie puści i... nigdy, nigdy już od nas nie odjedzie.” Bo matka moja — trzeba ci wiedzieć, Padre — choć przede mną, przed dzieckiem, ukrywała bardzo troskliwie grzech mojego ojca i jego nieczułość, — to jednakże tyle nie zdołała dokonać, abym ja, wyobraźnią moją dziecięcą, nie potrafił z tych rzeczy, którem przypadkiem słyszał, domyśléć się, że on ją porzucił dla innej, z którą niby — myślałem — ma się kiedyś ożenić! Nie wiedziałem, że było daleko gorzej! — że *bella* co ojca mojego porwała, była jedną z tych prostych i powszednich nikczemnic, które tylko rozpustę sieją po świecie i rujnują panów, by wyśmiewać ich potem.

Ojciec mój, Padre! był rodzajem człowieka — dziś to wiem już i z boleścią muszę ci to wyznać— który wszystko jak to mówią, mierzy na świecie... lekko! Nie cenił grosza — lubił dużo wydawać i żył weselej, niż pozwalał majątek. Z tem wszystkiem był to człowiek bardzo dobrego serca!... do dziś jeszcze pamiętam pieszczoty jego!... Nikczemność jednej zalotnicy, Padre!... proste nieszczęście, Padre! ot i wszystko! Pod pretekstem, że w Galicyi robi wielkie interesa, które byt naszej rodziny miały uczynić bardzo świetnym, — on siedział nie w Galicyi, a tu, w Wenecyi, z ową Włoszką szesnastoletnią, z którą się poznał w Warszawie i... przeżywał duże kwoty pieniężne, jakie mu matka moja z dochodów najpierw wioski, potem z sum, które posag jej własny stanowiły, nareszcie ze sprzedaży już wioski, posyłała.

Po roku zaledwie, biedna kobieta, dowiedziała się przypadkiem o całej prawdzie! Wtedy to zebrawszy resztki majątku, który już całkiem był nadszarpany,—wyjechała razem ze mną aż tu, na południe, — licząc na to, że ojciec, kiedy mnie zobaczy, — jedynaka syna, którego kochał bardzo,—oprzytomnieje nagle ze swojego szału i... do kraju napowrót dobrym mężem wróci!

Niebaczna!... czemuż krok ten uczyniła? czemuż tyle zaufała swojej własnej miłosci, do chorego i pozbawionego zmysłów człowieka!? Boć — zawierz mi, Padre — że mój ojciec, koniec końców, był tylko chorym, nic więcej, człowiekiem!

Sam pomnę to dobrze, jak po całych godzinach, klęczał u nóg nieraz mojej biednej matki i — ręce załamując — przepraszał ją za coś. Cóż to być mogło innego, Padre! jak nie to, że on musiał skarzyć się przed nią sam na swój szał, który sprawiał mu tyle nieszczęść? Było to zwykle, gdy po kilku tygodniach pozostawania ciągłego z nami, wypłynął potem, choćby na parę godzin, choćby na pół godziny tylko na miasto. Siedzeniem swojem takiem dłuższem w domu, — chciał za każdym razem przekonać matkę, że ta niepotrzebnie nalega na powrót do Polski znowu — na wyjazd z Wenecyi. Tłomaczył jej, że wstyd mu już wracać do swoich — że on tu we Włoszech jakieś miejsce otrzyma, które nam lepszy, niż tam, byt zapewni. Prosił jej, prosił, aby go leczyła — sama leczyła od opętania jego!

Leczyła go... łzami i swoją miłością! bo tak — ach, Padre, zawierz mi, proszę, że matka moja była to święta — iście święta — anielskiej dobroci kobieta!

Rok cały taki straszny—przeszedł nam w Wenecyi. I może — Padre! — wszystko co tu złe było, na cośmy cierpieli: ja i ojciec i matka, byłoby się w końcu przemieniło na lepsze, na coś przynajmniej coby było znośnem, — gdyby nie straszne kłopoty materyalne, które nas zaczęły trapić odrazu i — ponieważ ojciec nie dorabiał pracą, tego, cośmy żyjąc w ten sposób, tracili — nie najprawdziwsza, najczarniejsza nędza, która pod dach nasz wstąpiła potem!... Sprowadzona przez matkę z Polski reszta rzeczy, któreśmy jeszcze tam pozostawili: jej biżuterye — brylanty — suknie nawet, wszystko pomału szło i przepadało! Nareszcie w chwili, gdyśmy tylko mieli tyle, by módz za co do kraju nazad jechać, — ojciec mój, dnia jednego oświadczywszy matce, że wychodzi za jakąś sprawą bardzo ważną, — wyszedł... tak jest!... i więcej już nigdy nie wrócił!

W kilka dni odebrała list matka od niego... Musiało tam być w liście tym cosić strasznego, kiedy— pomnę — czytając go, biedna kobieta, chwyciła się za serce obiema rękami, jęknęła — i upadła na podłogę pokoju, na której leżał jeszcze niesprzedany kobierzec!

*Mio Padre!* nie będę ci dalej opisywał, jak ją, bez zmysłów prawie, ludzie ztamtąd podnieśli — jak złożyli, wśród płaczu mojego, na łoże, z którego się już więcej nigdy nie podniosła!

Umarła w miesiąc potem... W okropnej gorączce, która ją przez czas całej choroby trapiła, majaczyła biedaczka, abym coś napisał... do kogo? i pod jakim adresem? — nie pomnę. Wołała jeszcze ojca mojego po nazwie — wzbraniała mu pić jakąś truciznę — i ciągle... wymawiała przez sen swój imię: „La Toralla”...

— Jak? La Toralla? — przerwał w tem miejscu spowiednik.

— La Toralla... tak, Padre! — odpowiedział chory. I ciągnął dalej:

— Jeszcze szeptała w gorączce... o szkole jakiejś, w której ja miałem się uczyć. Nie chodziłem nigdy do żadnej szkoły. Widać matka zamierzała dopiero mnie tam oddać... O *mio Padre!* czemuż tego nie zrobiono? Byłbym może dzisiaj całkiem czemś innem, nie potrzebując uczyć się... z kradzionych książek!

(*D. n.*)

---

# WYCIECZKA
## DO BLAŃSKA, PUNKWY I MACOCHY
### w Morawii.

(Dalszy ciąg.)

Był to niezwykle zajmujący widok, gdy śmiały badacz wstąpił na tratwę i skierował ją ku ciemnej otchłani. Przyjaciele jego stali na brzegu, wołając serdecznie „z Bogiem”. Inni goście, którzy w dniu tym znajdowali się w dolinie Punkwy, dążąc do Macochy lub do nowo odkrytej jaskini Słupskiej, widząc przygotowania do tak nadzwyczajnej wyprawy, zatrzymali się u *Wielkiego Wychodu*, ciekawie przebieg jej śledząc. Dwie tratwy płynące od siebie w odległości kilku metrów, na pierwszej dr. Krzyż w hełmie na głowie, w postawie poważnej i śmiałej; na drugiej pomocnik jego Horak tak samo przybrany, a na obydwóch tratwach gorejące pochodnie, tłem zaś tego obrazu urocza leśna okolica, na brzegu żegnający przyjaciele i ponury koloryt całości z powodu nieustającego deszczu, stanowiły całość godną uwiecznienia pendzlem malarza.

Wśród głębokiej ciszy przerywanej tylko uderzeniami wioseł o wodę, wjechała pierwsza tratwa w ciemny otwór po pod prawą ścianę skały, gdzie woda dość była wysoka i tratwę lekko uniosła, musiał jednak dr. Krzyż zboczyć na lewo i dostał się do węższego przejścia gdzie już woda była tylko na 4 metry głęboka. Ciągle wiosłując, posunął się o jakie 10 metrów, aż wreszcie znalazł się w miejscu na jeden metr tylko szerokiem, w którem już nie mógł wiosłem poruszać. Do tego strop skały zniżył się do pół metra po nad wodą; niepodobieństwem było dalej się przecisnąć, ale że prąd wody pchał twatwę ku skale, z wielkim jedynie wysiłkiem mógł się wydobyć z kłopotliwego położenia. Opierając się obydwoma rękami o skalną ścianę, kierował zwolna tratwę napowrót, a wydobywszy się z ciasnego przejścia, powrócił do oczekujących go przyjaciół, omdlewający prawie ze zmęczenia. Cała ta wycieczka zabrała mu pół godziny czasu.

Przekonano się ostatecznie, że na takiej tratwie dalej jak o 60 metrów od *Wielkiego wychodu* ku Macosze płynąć nie można i że wszelkie usiłowania dostania się do niej tą drogą są niemożliwe i na nic się nie przydadzą.

Nadmienić tu wypada, że między tamtejszą ludnością krążą rozmaite bajki o innych w tym rodzaju ale bardzo niefortunnych wyprawach tragicznie zakończonych, jedną z nich tu podajemy.

Pewien Anglik przybył do *Wielkiego wychodu* w towarzystwie swej żony i postanowił dostać się tą drogą do *Macochy*. Sporządził więc sobie tratwę i puścił się w drogę. Po pewnym przeciągu czasu, gdy go nie było widać z powrotem, zaniepokojona żona za nim się udała, chociaż jej przedstawiano, że taka wycieczka pociąga za sobą niemałe niebezpieczeństwo. Odważna Angielka odpowiedziała, że męża swego nawet w obec śmierci nie odstąpi. Zapuściła się więc w otchłań, — niewiadomo jak daleko się posunęła — lecz męża swego znalazła krwią broczącego od ran, które mu zadały wydry wewnątrz tej otchłani mieszkające. Aby to opowiadanie uczynić wiarogodniejszem, dodają, że wydry stają się strasznie zażarte i na człowieka się rzucają gdy ten gniazdo ich naruszy. Broniąc swe małe do wściekłości dochodzą. Ma się rozumiéć, że podobny wypadek ni-

gdy nie miał miejsca, na dowód czego nikt z opowiadających nie zna nazwiska tego Anglika ani nie wie w jakim czasie miało to miejsce, po drugie niemożebną jest rzeczą, aby w tym otworze skalnym mogły mieszkać wydry bo czemżeby się żywiły?

Opuszczając tę uroczą miejscowość, rozłączamy się z Punkwą i idziemy drogą niezbyt oddaloną od *Wielkiego wychodu*, a prowadzącą do *Macochy*. Postępując wzgórkiem lesistym dość przykrym, dochodzimy do granicy oddzielającej las książąt od lasów gminy Wilimowickiej; od tej granicy mała już tylko przestrzeń dzieli nas od celu wycieczki. Przy końcu droga się staje przyjemniejszą, bo mniej uciążliwą, wogóle od Wielkiego Wychodu do *Macochy* trwa ona pół godziny. Las rzednie i stajemy u kresu na szczycie wyniosłego wzgórza u stóp którego *Macocha* przeraża nas swoją grozą.

Na pierwszy rzut oka przepaść ta przedstawia się jako otchłań ciemna, w którą bez okrzyku przerażenia spojrzéć nie można. Ma ona kształt nieprawidłowego czworoboku, największa długość 174 metry, głębokość, mierząc od glorjety, która tam pierwej na prawym brzegu się znajdowała, do powierzchni wody tworzącej staw na dnie przepaści, wynosi 136 metrów. W innem miejscu ma tylko 127 metrów i w czasie suszy woda tam zupełnie wysycha i dno kamieniste odkrywa. Z tego miejsca gdzie stała glorietka (na samym brzegu prostopadłej skały), bardzo jest niebezpiecznie patrzyć się w dół na dno Macochy.

Z glorjety zaś, wystawionej niegdyś przez książąt Salm, wielkich miłośników przyrody, po której teraz tylko zostały kamienie służące jej za podstawę, zupełnie bezpiecznie można było przypatrywać się przepaści, nawet tym którzy doznają zawrotu głowy w obec takiej głębokości. Jednak chociaż glorieta zdawała się być tak mocno zbudowaną, burza marcowa strąciła ją i pogrzebała na dnie przepaści. Dotąd pomimo, że dzienniki Bernenskie ciągle przypominają tym od kogo to zależy, aby wzniesiono w tem miejscu żelazną poręcz, nic jeszcze nie przedsięwzięto dla zabezpieczenia życia podróżnych, chcących się przypatrzyć tej przepaści i dlatego niepodobieństwem jest oglądać ją z najkorzystniejszego punktu, tego właśnie na którem stała glorieta.

W porze w której podróżni najliczniej odwiedzają tę miejscowość, gajowy oczekuje tu na gości i rzuca kamień na dno przepaści, aby dać pojęcie o jej głębokości. Kamień ten potrzebuje 8 sekund dla przebycia tej przestrzeni. Dosięgając dna tak dudni jak gdyby jeszcze niżej spadał. Z glorjety doskonale było widać kamienie na dnie Macochy leżące i jak się ztamtąd zdawało, zieloną łączkę bujną trawą porośniętą. W jasny dzień do samego dna wybornie widać było, tylko rozmiary łudziły, i nic dziwnego, zważywszy że glorieta wznosiła się z najwyższej strony i na zupełnie prostopadłej skale. Chcąc miéć pojęcie o rzeczywistych rozmiarach przepaści, trzeba miéć odwagę zejść na dno samo i ztamtąd spojrzéć do góry. Po lewej stronie spuszcza się w dół wązka i bardzo kamienista ścieżka, przechodzi koło opuszczonego szałasu i doprowadza do tarasu zwanego *mostkiem*. Dochodzi się do niego korytarzem wyżłobionym deszczowemi wodami, które spływają na dno *Macochy*,—jest to droga nader przykra i niewygodna. Nie trwa ona długo i oto znajdujemy się na mostku otoczonym dla bezpieczeństwa drewnianą poręczą. Jesteśmy o 53 metry poniżej glorjety i możemy lepiej ocenić głębokość Macochy a także wspaniałość i ogrom całej zachodniej wapiennej skały na której wznosiła się glorieta. Podnosimy wzrok nasz i podziwieniem przejęci jesteśmy. Glorieta wydawała się ztamtąd jak mały punkcik. Wschodnia strona skały malowniczo odbija od nagiej ściany zachodniej, gdyż jest pokryta bogatą roślinnością, oraz śpilkowemi drzewami i w łagodnej pochyłości zbiega na dno Macochy, przy końcu dopiero w prostopadłą skałę przechodząc.

Z mostku widzi się także na przeciwnej stronie tak zwaną *piekielną szyję*, której ciemny sklepiony otwór prowadzi do jaskini w Macosze się znajdującej. Dojrzéć również można na dnie przepaści aż dwa jeziorka podczas gdy z glorjety jedno tylko dawało się widziéć. Mały potoczek przepływa przez nie i gubi się pod wapienną opoką. Jest to woda Punkwy, którąśmy wyżej opisywali i która w dolinie tegoż imienia po raz pierwszy ukazywała się na powierzchni ziemi u *Wielkiego wychodu*. Przewodnicy, którzy na mostku gości oczekują, twierdzą, że głębokość przepaści jest tak wielką iż kamień rzucony ręką najzręczniejszego z podróżnych, nie dosięgnie z tej wysokości na dno wody. I rzeczywiście wszystkie kamienie któreśmy rzucali, dosięgały tylko do suchej i kamienistej części dna *Macochy*, ale do wody nie wpadały. Rzucony kamień zakreśli łuk w powietrzu, poleci świszcząc i zniknie z oczu a po chwili dopiero słychać go spadającym na inne kamienie. Tylko przewodnicy wskutek wprawy doszli do tej zręczności, że kamienie przez nich rzucone trafiają w jeziorko o czem przekonywa rozpryskiwanie się wody.

Z tarasu tego zwykli śmiertelnicy wracają na górę, ale ci których wiedzie prawdziwe zamiłowanie przyrody i nieprzeparte pragnienie poznania przyczyn wszelkich zjawisk natury, schodzą na sam dół z narażeniem życia, byleby uchylić zasłonę okrywającą dno Macochy i odkryć lub przyczynić się do zupełnego rozpoznania przyczyn i znaczenia tej przepaści.

Wycieczki do Macochy i badania jej sięgają przeszłego stulecia. Pamiątkowa deska przybita u wchodu do „Erichowej jaskini" w Macosze, głosi że na dnie Macochy byli dnia 23 czerwca 1784 r. PP. Fr. Postawka, Wójt; Karol Buczyński, inżynier, Fr. Fechter z Pozorric; Jan Tellher z Berna, inżynier. Druga deska tuż obok tamtej umieszczona, nosi nazwiska tych którzy dnia 21 Sierpnia 1856 roku na dnie Macochy się znajdowali: Byli to panowie: hrabia Eryk Salm-Reinferscheid, dr. med. J. Wankel, Hr. Mladek, mechanik Jan Franta, starsi górnicy: Medritzer i Sedlak, oraz kilku innych górników. Całe to towarzystwo dostało się na dno przepaści po linach.

Dnia 21 Września 1856 r. spuścili się do przepaści o 9-tej rano panowie: Edward z Hanktensztejnu, Karol Berger i Henryk Preuss. Pierwsi dwaj przepędzili noc na dnie przepaści i dopiero nazajutrz około południa po drabinkach szczęśliwie na górę się wydostali.

Dnia 24 Września 1864 r. był tu p. Peszke a dnia 28 Sierpnia 1866 Hugo, stary hr. Salm i Sedlaczek. Dnia 18 Sierpnia 1864 urządził d-r Krzyż wielką wyprawę na dno Macochy według swego wyłącznego planu. Po lewej stronie od mostu znajduje się jeszcze ścieżka na 20 kroków długa, w dół prowadząca. W tem to miejscu górnicy, których miał z sobą, urządzili mocne rusztowanie na którem zawiesili dwie liny wypróbowanej mocy. Na jednej był przytwierdzony kosz w którym stanął doktor, drugą liną sam się okręcił. Okoliczni mieszkańcy dowiedziawszy się o tych przygotowaniach, w dniu oznaczonym licznie się na mostku zebrali.

Ku wielkiej trwodze widzów, górnicy spuścili zwolna doktora i ten we 4 minuty stanął zdrów i cały na dnie Macochy. Wydobywszy się z kosza stanął na pagórku, mającym jak się potem przekonał, do 95 metrów długości i złożonym z samych brył wapiennych. Z byłej naowczas glorietki pagórek ten wydawał się nam zieloną łączką, a tymczasem pokrywały go tylko: bzy dzikie, pokrzywy i niezabudki. Z trudnością przyszło mu zleźć z tego pagórka gdyż był nadzwyczaj ślizki i co chwila kamienie z pod nóg mu się usuwały i mógł z łatwością w przepaść się stoczyć. Gdy jednak zeszedł szczęśliwie, podniósł głowę i w koło się obejrzał. Ludzie stojący na brzegu Macochy, wydali mu się tak małymi jak lalki, mógł się jednak z nimi rozmówić, ale wymawiając każdą zgłoskę osobno, bardzo powoli i głosem podniesionym. Na przeciw pagórka z którego tylko co zszedł, znajdował się drugi mniejszy i bardzo piasczysty jak gdyby był utworzony z piasku wodą naniesionego. Między temi pagórkami leżały owe dwa jeziorka z mostku widziane.

Jeden na zachodniej stronie pod glorietą położony, mający 6 metrów głębokości, na 10 metrów szeroki, a na 35 metrów długi; drugi podobnież jak pierwszy ciemno-zielonej barwy, tej samej także głębokości ale szeroki na 17 metrów a długi na 28. Między jeziorkami jakby w dolinie, przecieka potoczek wypływający z jeziorka zachodniego a do wschodniego dążący i łączący je oba.

Tym potoczkiem jest już jak wiadomo Punkwa, która do tych jeziorek sprowadza wodę ze skał Słupskich, Holsztyńskich i Ostrowskich, a sama odbywszy następnie podziemną drogę mniej więcej na kilkaset sążni długą, ukazuje się na światło dzienne u *Wielkiego wychodu*. Rzeka ta dla nizkiej temperatury, przejrzystości i jasności wód, daje powód do rozmaitych przypuszczeń: zkąd te jej przymioty się biorą i jaki jest bieg jej górny. Dolny bowiem od *Wielkiego wychodu* aż do ujścia w Switawie za hutami Maryninowemi, jest dobrze znany, chociaż i tu jeszcze nie zbadano jej podziemnych dróg gdy znika po raz drugi i trzeci, u *Zapadu* i u *Małego wychodu*. To tylko może być pewnem, że Punkwa jest wielkim zbiornikiem wód spływających do niej ze wszystkich pomniejszych strumieni górskich i jeziorek w wapiennych jaskiniach słupskich, holsztyńskich i ostrowskich. Skały wapienne są bardzo przenikliwe a że spadek ich jest znaczny, woda deszczowa tworzy więc liczne źródła, które nawet w czasie największej posuchy nie wysychają jakoteż i strumienie zamknięte między wysokiemi ścianami skał wązkie są a głębokie. Dna tych zbiorników utworzone z piasku napływowego i z materyi organicznych a wody tak chłodne, że w lecie co najwyżej do 8° Reomura dochodzą.

(*D. n.*)

# PRZEGLĄD LITERACKI.

**Anna Orzelska**, powieść na tle historycznem, z czasów Augusta II-go, napisał *Wł. K. Zieliński*. Lwów 1881 r.

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat bieżącego stulecia historyczna literatura nasza znaczny krok uczyniła naprzód. Pozbierano i drukiem ogłoszono

przeróżne materyały historyczne, rozproszone dotąd i nieprzystępne, a co większa, zebrane te materyały, *mniej więcej* krytycznie opracowano, tak iż nietylko pojedyńcze epoki i fakta rozjaśnione zostały, lecz całość dziejów naszych w zupełnie odmiennem ukazała się świetle. Postęp ten jednak, rzecz dziwna, niewiele, a przynajmniej bardzo mało przyczynił się do sprostowania i rozpowszechnienia wiadomości historycznych, co tłomaczymy sobie jedynie tym sposobem, że prace naszych uczonych badaczów ukazują się jedynie po za granicami Królestwa, albo też, jeśli mają tu wolny przystęp, dostępne są jedynie specyalistom, zajmującym się wyłącznie studyami dziejów naszych.

Popularyzacyi wiadomości historycznych podjęła się powieść, dziś wszechpotężna. Dawniej wyszło na świat niemało tak zwanych historycznych powieści na wzór Walter-Skota sporządzonych, w istocie jednak dwa albo trzy dzieła na to miano zasługiwały. I dziwić się temu nie można: historya była za ubogą, jakże powieść mogła być bogatą! Dziś, oprócz genialnego i niestrudzonego J. I. Kraszewskiego, wielu młodych pisarzy, idąc w jego ślady, występuje na tem polu więcej lub mniej szczęśliwie. Do ich liczby należy W. K. Zieliński, literat znany dobrze zarówno we Lwowie jak w Warszawie.

Ostatnią jego pracą w tym rodzaju jest *Anna Orzelska*.

Epoka Sasów szczególnej zajmuje autora; studyował ją widocznie z upodobaniem i zebrał odnośne do niej materyały; dawniej poznaliśmy jego „Aurorę", dziś przedstawia się nam „Anna" córka naturalna Augusta II, zrodzona z Henryki, a jak ją autor nazywa Henrykty, pięknej jedynaczki Duvala, warszawskiego kupca winnego. Gdy matka zapomniana i opuszczona została przez króla który wtedy dosyć miał kłopotów politycznych, młoda i niezwykłej piękności dziewczka wychowywała się przy dziadku, a potem pod opieką hr. Rutowskiego, także królewskiego syna, zrodzonego z Fatmy Turczynki. Kiedy wyrosła na prześliczną dziewicę i jak na owe czasy dosyć wykształconą, wtedy hr. Rutowski, dawszy się jej poznać, że jest jej bratem przyrodnim, przedstawił ją ojcu. Król zachwycony jej pięknością i podobieństwem do Henryki, dał jej nazwę Orzelskiej, umieścił przy swoim boku i otoczył zbytkiem i honorami przynależnemi królewnie.

Treścią utworu p. Zielińskiego jest romans Anny z Janem Cetnerem, synem dumnego wojewody Smoleńskiego. Intrygi i bezustanne zabawy są tu kanwą, na której autor haftuje owoczesne wypadki polityczne, mianowicie też uwydatnia, bardzo dla nas wielkiego znaczenia, stosunek Augusta z Piotrem Ces. Ros. Romans tragicznie się kończy, bo śmiercią obojga kochanków.

Gdybyśmy nie mieli „Brühla" i „Hrabiny Kozel" z pewnością „Anna Orzelska" lepiejby na tem wyszła; a chociaż autor nie dotyka przedmiotów, które opisał Kraszewski, to przecież czytelnik daleko więcej jest wymagającym pod względem ducha czasu i charakterystyki wprowadzonych do powieści osób. Autor, pomimo po temu wszelkie dane, przedstawił nam niejedną ciekawą stronę owoczesnego życia społecznego.

Całość wiele pozostawia do życzenia.

Z początku mieliśmy autorowi za złe że przy opisie przeróżnych uroczystości i bankietów królewskich, aż do znudzenia wylicza osoby, które w nich udział brały, lecz później, zastanowiwszy się głębiej, mniemaną tę wadę, nietylko przebaczyliśmy autorowi, lecz poczytaliśmy ją nawet za pewną zasługę, gdyż jeśli wyliczone nazwiska obojętne być mogą dla cudzoziemca, polski czytelnik dopatrzy w nich palec nieubłaganej Nemezis. Jedne z tych rodów zaginęły w ogólnej katastrofie, albo zcudzoziemczały, przeniósłszy się w obce strony, drugie zaś pod naciskiem nieprzyjaznych żywiołów tak podupadły, że potomkowie ich ze zbiegiem okoliczności zmieszali się z ludem prostym ciężko pracującym na kawałek chleba, i zapomnieli nawet o świetnej roli, jaką pozbawieni ich przodkowie odegrali za króla Sasa, kiedy jedli, pili i popuszczali pasa... Oj! pozpuścili go, rozpuścili aż do skutku... Niechże teraz epigoni ich pracują na Semitę albo Niemca, który ich bez litości wyzyskuje. Czytając książkę p. Zielińskiego jeśli tylko czytać umieją, przypomną sobie ojców i gorzką naukę wezmą do serca.

*J. Pracki.*

---

# WYSTAWA ROBÓT KOBIECYCH

## i wyrobów tkackich przemysłu domowego

WE LWOWIE.

---

Urządzona w Muzeum przemysłowem miejskiem i staraniem gorliwego o przemysł krajowy Zarządu tej instytucyi *wystawa*, przewyższyła wszelkie oczekiwania. Wprawdzie Kraków, jak zawsze tak i teraz, wiedziony śmieszną dla Lwowa nieużytecznością, żadnego nie wziął udziału; toż samo można powiedzieć i o całej zachodniej połowie Galicyi, wszakże zgromadzono 1520 okazów.

A tout seigneur tout honneur, zaczynamy od koronek, mianowicie od gościa: pani Heleny Gabriel z Warszawy, która wystawiła tableau z rozmaitego rodzaju koronek wyrabianych w jej szkole koronkarstwa. Jak głosi katalog, szkoła liczy już 150 uczenic, z których 50 dzieci. Wystawione okazy nie ustępują w niczem zagranicznym wyrobom. Potrzeba więc tylko pochylić czoło przed szlachetną założycielką szkoły koronkarstwa, która tyle dobrego może sprowadzić dla ludności żyjącej dotąd bez żadnego środka zarobkowania. Nie mniejsza jest zasługa p. H. Łukasiewiczowej z Chorkówki, koło Krosna w Galicyi. Przykład tej zacnej obywatelki winien niejedną z naszych pań pouczyć jak się pojmują i spełniają obowiązki względem kraju. Czując potrzebę podniesienia przemysłu u nas a zarazem wydobycia naszego ludu z nędzy, p. H. Łukasiewiczowa pojechała do Czech, aby się wyuczyć koronkarstwa. Po powrocie do kraju założyła w swoim majątku szkołę wyrobu koronek. Niestety, próżne koszta! Biedny wieśniak nie pojmował korzyści z takiej roboty, dziewczęta nie przywykły do drobnych ręcznych prac ani myślały o uczeniu się koronek. Nie zraziła się tem sama założycielka szkoły; aby przełamać opór ciemnej ludności, ogłosiła że uczenicom *płacić będzie* i to płacić więcej niż wynosi dzień zarobku przy zwykłych gospodarskich zajęciach. To przynęciło dziewczęta, które wraz z postępem, jaki czyniły, rozlubowywały się w pięknem rzemiośle. Zaprowadziła przytem p. Łukasiewiczowa zwyczaj czytania odpowiednich książek podczas roboty w szkole, co niemało wpływa na młodsze i starsze pracownice. Dłuższego trzeba było czasu, aby doprowadzić wyroby do wymaganej doskonałości, dać je poznać w kraju i zapewnić im zbyt stały. Dziś p. Łukasiewiczowa może się poszczycić najzupełniejszem powodzeniem— rzuciła między biedną ludność ogromne sumy, tem cenniejsze, że zdobyte pracą nie jałmużną, a co większa może umoralniła całe pokolenie, pogrążone dotąd w nędzy i ciemnocie. W szkole p. Łukasiewiczowej wyrabiają szlarki, wstawki, wszelkiego rodzaju koronki, chusteczki, szaliki koronkowe i t. p., którym co do wartości pierwszorzędne należy się miejsce. Przepyszne są roboty koronkowe panny Zonczakówny i panny Stelzerówny, których prześliczne chusteczki, kołnierzyki, bouts de cravate, coliers i t. d. rodzajem point d'aiguille, point de Malines i koronki klockowe etc. wszystkie w pierwszych dniach rozkupione zostały. Pomijając wytworny smak, wykończenie nic nie pozostawia do życzenia. P. Felicya Pruchnik przysłała przedziwnej piękności i delikatności chusteczkę eu frivolité, hr. K. Stadnicka z Sądowej Wiszni, piękne okazy weneckiej i hiszpańskiej koronki, p. Marya Walewska z Bolechowa, koronki z nici białych i kolorowych. Nicianemi koronkami najwięcej odznaczyła się szkoła koronkarstwa w Pieniakach, założona przez hr. Alfonsynę Dzieduszycką, żonę słynnego hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, opiekuna przemysłu i nauk.

Koronki w Pieniakach wyrabiane, mogą służyć i do ozdabiania bielizny lub też firanek — i mają na celu taniość a ztąd łatwość zbytu. Nie zapomnijmy wszelako o jednej z najznakomitszych jeśli nie najznakomitszej pracownicy panny Kataryny *Rybakówny*. Oceniając jej zdolności, wydział krajowy nadał jej stypendium i wysłał do wyższej szkoły haftów i koronkarstwa w Wiedniu, którą opuściła z jak najświetniejszym wynikiem. Niestety, kraj sam, widać nie może zapewnić utrzymania tak utalentowanej *artystce* (niemożemy ją nazwać inaczej) bo zmuszona była zająć miejsce u jakiejś Niemki w Wiedniu. Ta płaci jej, najhaniebniej, ciągnąc ogromne zyski z prześlicznych jej prac. Czyżby się kto nie znalazł z bogatszych, nie dobroczyńców, ale *przedsiębierców*, którzyby sprowadził pannę K. Rybakównę do Lwowa, Krakowa lub Warszawy i założył jej pracownię.

Żeby wiele zarobił, to pewna, ale i kraj by zyskał podwójnie, bo posiadałby wykwintne wyroby i nie wyprawiał pieniędzy za granicę. Panna Rybakówna wystawiła mnóstwo najrozmaitszego rodzaju prac i próbki koronek klockowych, frivolité, point filigrane, poin lacé, koronek weneckich, frendzle, wzorki na drutach, siatkowane, haczkowane, na kanwie papierowej, wyszywania na papierze, na kanwie roboty podwlekane, hafty białe, płaskie, techniką Halbeina, roboty ściegiem krzyżykowym wiedeńskim, haft arabski, aplikacye na suknie, aplikacye różnych materyi na jedwabiu i t. d. Niewiadomo co więcej podziwiać należy, czy piękność i gust rysunku, czy wdzięk układu całości, czy wykwintność wykonania doprowadzonego do doskonałości.

Wymieniliśmy hafty. Pod tym względem wystawa jest bardzo bogata i w ilości i w jakości okazów. I w tym dziale na czele trzeba postawić pp. Rybakównę, Stelzerównę, Zonczakównę, obok których staje p. Joanna Deputowiczowa, p. Lewicka ze Lwowa, panie Madejskie (śliczny haft pełą różnokolorową na czarnym atłasie, pokrycie mebli hebanowych) ze Lwowa, hr. Filipina Potocka z Buczana a szczególnej roboty klasztorów: Siostr Franciszkanek, N. Sakramentu, Siostr Felicyanek, które dowiodły, że tradycya wspaniałych haftów, szczególnej złotem i srebrem, nie zaginęła u nas. Z pięknemi rzeczami wystąpiły za-

kłady: Sierot pod dozorem Sióstr Miłosierdzia ś-go Kazimierza, Sierot Im. Serca Jezusowego, Ochronka Ś-go Marcina (dzieci od 5 do 7 lat!!), Zakład Ś-tej Heleny. Na szczególną uwagę zasługują prace nadzwyczaj liczne i doskonale uklasyfikowane szkół: IV-klasowej na dworcu kolei Karola Ludwika (utrzymywana przez administracyą kolei) we Lwowie, ludowej w Stronibabach (pow. Złoczowski) pod opieką p. Obertyńskiej, Wyższej szkoły żeńskiej w Kołomyi, Zakładu wychowawczego p. Henryki Franke we Lwowie, V-klasowej im. Ś-tej Anny, szkoły wydziałowej miejskiej, szkoły etatowej miejskiej im. Czackiego, szkoły im. Ś-tej Elżbiety, szkoły wyznaniowej ewangielickiej, szkoły im. Maryi Magdaleny, im. Ś-go Antoniego, im. Ś-go Marcina, zakładu wychowawczo-naukowego panny Niedziałkowskiej (nadzwyczaj liczna wystawa 120 grup okazów), wszystkich tych szkół we Lwowie. Prace szkół ułożone według wieku uczenic i klas, dają miarę postępu od pierwszego ście gu do najtrudniejszych robót, od zwykłego krzyżyka do haftów i koronek. Z przyjemnością widziałem, że robót zbytkowych i zbytecznych, owych cacek do niczego, tych poduszek na których strach się oprzeć, podstawek zbyt pięknych, na których nic nie można postawić, coraz mniej tak w szkołach publicznych jak też i prywatnych. Zato widoczny zwrot ku pracom koniecznym w codziennem życiu: szycie białe, bielizna, fartuszki, kapy na łóżka, wstawki, nakrycia, dywaniki, haczkowane rzeczy, jak: obrusy, poszewki, pończochy wszelkiego rodzaju, ręczniki i t. p.

Załączam przy tym liście *plan nauki robót ręcznych* uchwalony przez konferencyą nauczycieli i nauczycielek i w użyciu we wszystkich szkołach ludowych i wydziałowych żeńskich. Sądzę, że powinien was zająć, bo może posłużyć na wzór dla tych osób, które albo kierują szkółkami, albo idąc za przykładem wymienionych wyżej pań, zechcą we wsiach rozszerzać znajomość robót ręcznych.

Ogólną przytem zwracała uwagę wystawa Zakładu Ciemnych we Lwowie. Blizko 60 okazów, kap bawełnianych, chustek i szalików wełnianych, włóczkowych nawet i kolorowych, kaftaników, czepków, rękawiczek, bucików, wykonanych z podziwienia godną zręcznością, tworzyły uderzający obraz. Wszakże uznanie należy się kierownictwu tego Zakładu.

(*D. n.*)

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Władze administracyjne zajęte są obecnie rozpoznawaniem rodzaju winy aresztowanych w czasie ostatnich wypadków w Warszawie a to w celu poddania ich właściwym sądom do ukarania. Będzie to najlepsza sposobność oczyszczenia miasta z gwałcicieli porządku i bezpieczeństwa publicznego.

*** O Sarze Bernard wszystkie dzienniki niezmiernie się rozpisują, wymieniając szczegółowo najmniejsze drobiazgi dotyczące jej osoby: w jakim ubiorze przyjechała do Warszawy, jak się szalem owinęła wysiadłszy z wagonu na dworcu kolei, na czyjem wsparła się ramieniu, jakie w hotelu zajęła numera, jak była w Łazienkach królewskich, jak wreszcie przedstawiła się publiczności wywołując burzę oklasków niemal piorunową. Kto realizm przekłada nad wszystko, zapewne sławnej tej artystce przyzna pierwszeństwo. Kto zaś domaga się realizmu ubarwionego puszkiem poetycznego natchnienia bez naruszenia jednak prawdy, ten naszą Modrzejowską nad nią przeniesie. Należąc do tych zacofańców poetycznych, stoimy przy naszej artystce, która równa talentem, postacią swą o wiele przewyższa Sarę goszczącą dziś na naszej scenie.

Czy jednak to zbytnie nią zaprzątanie się nie jest przesadą nawet do śmieszności posuniętą? Wyrugowanie naszych artystów z za kulis w czasie występów Sary na jej konieczne żądanie spełnione, cokolwiek zakrawa na dzikość i szarlataneryą. Ale dzisiejszy świat bardzo spekulacyjny, we wszystkiem myśli tylko o zysku, więc i artyzmem handluje aby wartość jego podnieść do ceny jak najwyższej.

*** Z powodu poruszonej przez d-ra Markiewicza sprawy kolonii letnich dla biednych dzieci, p. L. Łaszcz serdecznie i poczciwie przemówił w „Gazecie Warsz." na korzyść większej jeszcze niedoli.

Na wezwanie d-ra Markiewicza, powiada, w sprawie biednej dziatwy zakładów dobroczynnych, odpowiedziało niebawem kilku szlachetnych obywateli i obywatelek, i dzieci te mają zapewnioną opiekę i pomieszczenie w miesiącach letnich, wśród świeżego wiejskiego powietrza. Lecz nie zapominajmy że obok tych biednych sierot, żyjących pod opieką dobroczynności publicznej, zapewniającej im choć bardzo skromne ale spokojne i pewne utrzymanie, ileż to setek ukrytej biedy, uczciwych i szlachetnie ambitnych pracowników, którzy krwawą pracą, z bezgranicznem poświęceniem, starają się o utrzymanie i kształcenie swych dzieci. Pomagać tym szlachetnym usiłowaniom, to święty obowiązek każdego człowieka uczciwego, miłującego kraj swój, który w miarę możności swej każdy spełnić powinien. Dla ułatwienia nadzoru władzy, wychowańcy zakładów dobroczynnych muszą być rozmieszczani po kilku lub kilkunastu, co wymaga znaczniejszych kosztów, a więc przyjęcie ich bogatym tylko jest dostępne. —Mniej zoś zamożni obywatele ziemscy powinni zaopiekować się ubogą dziatwą szkolną. Mało jest rodzin obywatelskich któreby nie miały synów lub córek na pensyach lub uczęszczających do szkół publicznych, — niech więc każda rodzina, zabierając dzieci swe do domu na Święta lub wakacye, ofiaruje gościnność jednemu z ich kolegów lub koleżanek. Nie pociągnie to za sobą ani wielkich kosztów, ani kłopotu; a ileż to setek ubogiej dziatwy będzie mogło odetchnąć świeżem powietrzem, wzmocnić nadwątlone siły, i z nowym zasobem zdrowia pracować dalej i wyjść może na najpożyteczniejszych obywateli kraju. Ileż to wytworzyłoby nowych stosunków między różnemi warstwami społeczeństwa, które dadzą poznać i przekonać się wzajemnie, że pod różną zewnętrzną powłoką u wszystkich jednakowe bije serce, tkwi jednakowa chęć braterstwa, miłości i dobra publicznego." P. Ł. kończy wzywając kolegów swoich ziemian, aby rządząc się staropolską zasadą „Gość w dom, Bóg w dom", nie uchylali się od spełniania tego obywatelskiego obowiązku, a biedny gość serdecznie przyjęty w ich progach, ściągnie na nie błogosławieństwo Boże.

Do słów p. Ł. nic dodawać nie potrzebujemy, w przekonaniu iż są tak poczciwe i wymowne, że same trafią do serc Czytelników naszych

*** J. I. Kraszewski pisze do „Kłosów".

Spodziewamy się że zamierzony pomnik Mickiewicza w Krakowie, da sposobność naszym rzeźbiarzom przypomnienia się ogółowi: — a szereg ich dość znaczny. Powinni oni stanąć do konkursu, jeźli nie wstępnego,—bo zadania jego zrozumieć trudno, to do stanowczego. Prasa galicyjska oburzona jest potajemnem nocnem przeniesieniem zwłok Pola i Siemieńskiego do krypty na Skałce. Przeniesienie to zdaniem naszem jest przygotowaniem do pomieszczenia zwłok Mickiewicza także na Skałkę.

Otóż w tej sprawie zawiadomieni jesteśmy z jak najlepszego źródła, iż rodzina nie pozwoli poruszyć zwłok Adama z dzisiejszego grobowca, jak tylko w tym jednym razie, jeźli będzie upewniona że zostaną złożone na Wawelu. Na Skałkę przewieźć ich nie dozwoli."

*** Dnia 1 grudnia r. b. w gronie Towarzystwa naukowego akademików Polaków w Berlinie, zawiązał się wydział medyczny, którego celem wzajemne kształcenie się w nauce medycyny, a przedewszystkiem wprowadzenie w użycie między młodzieżą poświęcającą się nauce lekarskiej terminologii polskiej. Na półrocze zimowe obrano na przewodniczącego w wydziale p. Fr. Jankowskiego, na sekresarza, — p. Kaźm. Wróblewskiego. Statuta wydziału zyskały saukcyą Towarzystwa d. 17 grud., a działalność rozpoczęto pierwszym wykładem p. Spychalskiego „O ciepłocie w ustroju zwierzęcym". Do rozwoju większej działalności staje głównie młodzieży na przeszkodzie brak książek medycznych i innych pomocniczych środków, z tego powodu, sekretarz p. Wróblewski, uprasza lekarzy polskich, aby raczyli wspierać młodzież dziełami, rozprawami i preparatami medycznemi. Ofiary przesyłać pod adresem: „Wróblewski, Berlin, N. kleine Hamburgerstrasse, 25. A. III.

*** Chorwacya ciężką poniosła stratę. Dnia 13 grud. r. z. umarł w Zagrzebiu August Szenva, najznakomitszy powieściopisarz chorwarki. Rodacy nazywali go swoim „Kraszewskiem" dla jego wszechstronnej wiedzy, talentu i niezmordowanej pracy. Był zarazem poetą, dramaturgiem, dziennikarzem powieściopisarzem, oraz wice-prezesem *Maticy Hrwatskiej.* Przodkowie jego byli pochodzenia czeskiego, i tam nosili nazwisko Szajnocha; dziad m eszkał w Peszcie, ojciec zrodzony z Chorwatki, osiadł w Zagrzebiu (Agram). Tu przyszedł na świat August w 1838 i tu ukończył szkoły, poczem wstąpił do uniwersytetu prazkiego, na wydział prawny. Tam nauczył się po czesku i po polsku i rozpoczął zawód literacki. Ukończywszy uniwersytet, udał się do Wiednia, w którym redagował „Glasonosza" i „Slavische Blätter". W r. 1866 powrócił do Zagrzebia i został współpracownikiem „Pozora" i różnych pism, przeważnie belletrystycznych. Szenva nie posiadał majątku, i to zniewoliło go zostać urzędnikiem magistratu w r. 1868; w pięć lat potem został radzcą miejskim. W ostatnich czasach pracował nadmiernie, zostawszy wice-prezesem *Maticy Hrwatskiej* i redaktorem najlepszego pisma chorwackiego „Vienac" co niezawodnie podkopało jego zdrowie; umarł w kwiecie wieku w 43 roku życia. Cześć pamięci najlepszego pisarza i najprzywiązańszego syna do swej rodzinnej ziemi, któremu i my winniśmy wdzięczność jako przyjacielowi narodu naszego i znawcy naszego piśmiennictwa.

*** Często tak dziwnie składa się zbieg okoliczności, iż prawie usprawiedliwia wiarę w fatalizm przywiązany do pewnych rzeczy i miejscowości. Do ostatnich zaliczyćby można w Wiedniu plac na

którym wznosił się smutnej pamięci *Ringtheater*. Zaledwie budowa jego została ukończoną, pamiętny *krach* z 1873 r. opuźnił jego otwarcie i zaszkodził jego przedsiębierstwu. Dyrektorowie zmieniali się nieustannie i bankrutowali jeden po drugim; od czasu do czasu otwierano i zamykano teatr, i niejednokrotnie policyą musiała mieszać się do burzliwych sporów między dyrektorami niebędącymi w możności płacić wynagrodzenia a aktorami niemającymi z czego żyć. Nareszcie piękny gmach stał się jedynie prawie przybytkiem wędrownych trup dramatycznych, magnetyzerów, kuglarzy i t. p. Nareszcie lepsza przyszłość zdawała mu się uśmiechać, gdy znany Jauner, b. dzierżawca *Karltheater* zdolny, przedsiębierczy i bogaty, objął przedsiębierstwo i dyrekcyą *Ringtheatru*. Nadał mu wyższy, artystyczny kierunek, doborowy repertuar, piękne dekoracye, i gdy wybrańsza publiczność zaczęła zapełniać loże i krzesła, teatr Jauner'a wszedł w modę. Obecnie występy Sary Bernhardt utrwaliły jego powodzenie — i już Wiedeńczycy powtarzali z uśmiechem „klątwa zdjęta", gdy straszna katastrofa z 8 grudnia, zadała kłam pomyślnym przepowiedniom. Jak opowiadają sędziwi starcy, miejscowość ta od paręset lat zawsze bywała widownią jakichś klęsk i nieszczęść. Urok ten czy klątwę odwróci szlachetna hojność cesarza Franciszka-Józefa, który z własnej szkatuły zakupił plac na „Schottenring'u, darował go miastu, i przeznaczył parę milionów florenów na wzniesienie w tem miejscu kościoła i jakiegoś zakładu dobroczynnego.

Według statystycznych obliczeń Fölsch'a, w ostatnich tylko stu latach, przypada 470 pożarów teatru, nie licząc sal koncertowych, a w ostatnim lat dziesiątku, mniej więcej po r. 1870, spłonęło 120 teatrów. Co rzeczywiście pojąć trudno, to że według tychże obliczeń, największa część pożarów przypadała 8, 15 i 20 każdego miesiąca, i po większej części przypadała zawsze we czwartki. Niech kto potrafi to wytłomaczyć!

*** Redakcya dziennika „Messager de Vienne" zamierza wydać w pierwszych dniach b. m. 5,000 egzemplarzy nadzwyczajnego numeru swego pisma, na wyłączny dochód ofiar smutnej katastrofy w Kościele Ś-go Krzyża. Numer ten składać się będzie z artykułów, myśli i aforyzmów pisanych przez autorów francuzkich i innych narodowości. Oprócz 5,000 egzemplarzy przeznaczonych dla Warszawy, Redakcya „Messager de Vienne" przeznacza jeszcze bardzo znaczną ich ilość na dochód ofiar pożaru teatru wiedeńskiego oraz powodzi i burzy w departamencie La Manche we Francyi. W Warszawie Nr. taki kosztować będzie 40 kopiejek.

*** Młoda i piękna panna Marya Veleda Farne, córka dawnego prokuratora i siostra znakomitego malarza włoskiego, ukończyła chlubnie wydział lekarski w Turynie, i uzyskawszy patent doktora medycyny, została mianowaną doktorką włoskiej rodziny królewskiej. Jak wiadomo, dawno, bardzo dawno temu, we Włoszech wiele katedr uczonych zajmowały kobiety—poczem nastała długa przerwa, i dziś, po 300 blizko latach przerwy, pierwsza panna Farne uzyskała stopień doktora medycyny, wolność praktyki w całych Włoszech i zaszczytne stanowisko doktora rodziny królewskiej.

*** Od roku 1814 nie było koło Ceylonu tak obfitego połowu muszli perłowych, jak w r. z. w miesiącach marcu i kwietniu Połów ten przyniósł rządowi 1,197,376 marek czystego dochodu. Wydobyto 27,338,596 ostryg, ale blizko jedna trzecia ogólnej ich wartości rozdzielona została, jak zwykle, między nurków i żeglarzy. Połów trwał 50 dni, zajmował 600 żeglarzy, 1,000 nurków i 1,000 pomocników; łodzi 200. Cena 1,000 ostryg wynosiła przeciętnie 44—136—aż do 656 marek.

Czy tak bogaty połów oddziała na ceny pereł, które od pewnego czasu nadzwyczaj podskoczyły w cenie?

## NOWE WYDAWNICTWA.

*Gość*, kalendarz K. Promyka na rok zwyczajny 1882, oprócz części specyalnej obejmuje jeszcze następne artykuły: o czasie i kalendarzach; wiadomości o świecie; żywoty bliższych nam świętych; wspomnienia z ubiegłego roku; o Kurpiach; zeszłoroczna klęska; sposoby przeciw pożarom; palenie tytoniu przez dzieci; początek poprawy; o pełnomocnikach gminnych; pierwsza wystawa ogrodnicza; pszczolnictwo; wspomnienia zmarłych; zakończenie wspomnień; prawdziwa historya o dyable; sposoby lecznicze i gospodarskie; pieniądze i miary: przepisy pocztowe; stacye dróg żelaznych; jarmarki; obrazkowa nauka czytania i pisania; ogłoszenia.

O układzie wewnętrznym tego wydawnictwa pisaliśmy już w roku zeszłym w „Tygodniku", oddając mu zasłużoną pochwałę. Drugi rok nie zawiódł naszych nadziei i na dewizę położoną na okładce: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! odpowiadamy: na wieki wieków i szczęść Boże poczciwej pracy!

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*P. Natalii K.* Wierszyk zostanie wydrukowany, ale ze zmianą tytułu. Za uprzejmy przypisek jesteśmy wdzięczni niewymownie.

*Pani H. M.* „Kłosy" za rok upłyniony z przesyłką pocztową kosztują rs. 12.

*Pani B. D. w Rżewie.* Przy prenumeracie nadesłany rs. 1 kop. 50 oddano biednemu paralitykowi, będącemu bez żadnych funduszów utrzymania.

*Pani P. S. w Połońsku.* Pozostałe kop. 50 oddano dla zniszczonych podczas świątecznych nieporządków.

*P. Karolowi B. we wsi Bor.* W wierszyku do słowika myśli bardzo piękne, ale w formie wady są nie do usunięcia.

*Doktorowi Rudolfowi R. w Mohylowie Podolskim.* Rubli 10 Wawrzyńcowi Stykowi, który sam o własnych siłach uczy się w szkole i zarabia na życie roznoszeniem dzienników, oddano i przeczytano rady w liście zamieszczone. Wdzięczny za nie, składa podziękowanie szanownemu ofiarodawcy i przyrzeka ścisłe ich wykonanie.

Adres: HELENA DĄBROWSKA, utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie Przedmieście Nr. 43, w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać.



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 29 Декабря 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek.**

# TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

Po chwili milczenia odezwał się znowu:

— Nie chcę już dłużej zajmować pana sobą; byłeś dobrym dla mnie, pozwól więc abym ci raz jeszcze za to podziękował. Przysięgam że zasługuję rzeczywiście na okazane mi przez pana współczucie, i że ręka którą uścisnąłeś przed chwilą, jest ręką uczciwego człowieka.

Zamierzał już odejść, gdy Andrzej go zatrzymał. Domyślał się że pewnie ten biedak nie ma pieniędzy, a jakkolwiek sam nie posiadał ich wiele, chciał mu udzielić tyle przynajmniej aby choć przez kilka dni miał kupić za co kawałek chleba.

Jan Torquenié spuścił głowę gdy Gérard podawał mu pieniądze, i żywy rumieniec pokrył wychudłą twarz jego. Jednak po chwili wahania rzekł z wyrazem smutku:

— Przyjmuję, lecz nie jako jałmużnę ale jako pożyczkę, z której spodziewam się uiścić wkrótce. Nauczyłem się rzemiosła i będę pracował.

Wahał się znów czas jakiś, a potem dodał nieśmiało:

— Czy wolno mi zapytać od kogo doznałem tyle dowodów współczucia i litości?

— Nazywam się Andrzej Gérard, a tu jest mój adres, rzekł młody malarz, podając swój bilet Janowi Torquenié.

W parę minut później były galernik oddalił się, a Gérard zamyślony wracał do domu przez puste już i ciemne ulice.

VII.

Wchodząc do swego pokoju, zobaczył na stole „Gazetę sądową" z 1847 roku, a że wszystko co dotąd wiedział o tej sprawie, budziło w nim zajęcie, i chciał poznać jak najprędzej wszystkie dotyczące jej szczegóły, usiadł i zaczął czytać natychmiast.

„Sprawozdanie ze śledztwa przeprowadzonego w sprawie Torquenié, osądzonej w 1847 r., przez sąd kryminalny w Rennes.

Akt oskarżenia był następujący:

„Dnia 25 kwietnia, o piątej rano, wieśniak jadący z Bourrée do Bonnières, spostrzegł w rowie przy drodze, w miejscu zwanem *Trou du chat*, zwłoki młodego człowieka, a zbliżywszy się, poznał w nim natychmiast wicehrabiego Marcelina de Mortrée.

„Wieśniak włożył zwłoki na swój wózek, i zawiózł je do Bonnières. Sąd zszedł natychmiast dla obejrzenia zwłok. Zmarły miał na sobie tylko koszulę i spodnie; jedna noga była zupełnie bosa, na drugiej miał kamasz.

„Nie było przy nim żadnych kosztowności ani też pieniędzy, znaleziono tylko w kieszeni małą książkę w niebieskiej oprawie: był to jeden tom jakiegoś romansu.

„Został ugodzony w czoło kulą, którą znaleziono i wydobyto z rany. Była to kula okrągła, jak te któremi dawniej nabijano karabiny piechoty."

„Wszystko co wiedziano o życiu i nawyknieniach wicehrabiego Marcelina, nie dozwalało przypuszczać aby sam odebrał sobie życie. Wprawdzie utracił bardzo wcześnie rodziców, ale posiadał znaczny majątek i wszystko co może uczynić życie łatwem i szczęśliwem. Co prawda, charakter jego był trochę dziwaczny; w jego ubiorze, sposobie życia, wysłowieniu, było coś wzbudzającego zadziwienie w osobach nie znających go dobrze; ale wszystko to nie upoważniało jeszcze do przypuszczenia, aby miał targnąć się na własne życie. Zresztą nie znaleziono przy nim żadnej broni; nadto, tak nieład jego ubrania, jak miejsce w którem znaleziono ciało, nie dozwalały wnosić aby to mogło być samobójstwo.

„Nie podpadało więc wątpliwości że zbrodnia została popełnioną, ale trzeba było jeszcze dojść w jaki sposób i odkryć mordercę. Długie i staranne śledztwo nie pozostawiło pod tym względem najlżejszej wątpliwości.

„Miejsce na którem znaleziono zwłoki wicehrabiego, zostało zbadane starannie. Leżały one przy drodze, nie ocienionej w tem miejscu drzewami, ale nieco dalej znajdował się młody i gęsty lasek, na początku którego znaleziono krzak z połamanemi gałęziami, jakby ktoś siłą torował sobie tam przejście.

„Łatwo teraz było przedstawić sobie w jaki sposób spełniono morderstwo. Morderca ukryty w gęstwinie, oczekiwał na swą ofiarę. Wice-hrabia de Mortrée został zabitym w chwili gdy przeskakiwał przez rów; gdy wieśniak go tam spostrzegł, głowa jego była zanurzona w wodzie, a jedna noga zaczepiła się na krzaku cierniowym, rosnącym na brzegu rowu. Po gorliwych poszukiwaniach, znaleziono na sąsiedniem polu drugi kamasz wice-hrabiego; to dowodziło że musiał uciekać śpiesznie, na pół ubrany, nie trzymając się drogi, i że w tej ucieczce został zabitym. Według zdania lekarza, śmierć nastąpiła mniej więcej na godzinę przed przewiezieniem ciała do Bonnières, a więc wice-hrabia został zabitym około czwartej rano.

„Ale gdzie był przed tem? Dla czego o tej porze przebiegał pola? Z jakiego powodu ktoś czyhał na jego życie?

„Wice-hrabia de Mortrée żył zdala od świata, w pałacu Marnes. Od śmierci rodziców, których utracił będąc jeszcze bardzo młodym, widziano go zawsze smutnym i zamyślonym. Nie znajdował przyjemności w rozrywkach właściwych w jego wieku; pałacowe stajnie i psiarnia stały pustkami. Zaledwie czasem spotykano go jadącego stępa na małym ale ognistym koniku, z pochyloną smutnie głową. Niekiedy jednak widziano go przebiegającego puste landy w szalonym galopie, jakby chciał tym sposobem uspokoić zbyt gorące myśli lub namiętności.

„Podczas jednej z tych szalonych wycieczek, koń jego potknął się o krzak janowcu, wskutku czego nogi wysunęły mu się ze strzemion, spadł na ziemię i złamał rękę. Leśniczy hrabiego de Trémeillan znalazł go tam jeszcze na pół zemdlonego, przywołał na pomoc dwóch przechodzących wieśniaków, a że było bliżej do Albrays niż do Marnes, kazał go przenieść do siebie, to jest do małego domku przytykającego do parku d'Albrays. Wice-hrabia pozostał przez dwa dni u leśniczego, a następnie przewieziono go do pałacu Marnes.

„Odzyskawszy zdrowie, odwiedził leśniczego aby podziękować mu za udzioloną pomoc i gościnność. Od tego czasu widywano go tam dość często, choć przedtem nie zbliżał się nigdy do pałacu d'Albrays; co zresztą nie dziwiło nikogo, gdyż powszechnie było wiadomem że rodziny de Mortrée i de Trémeillan rozdzielała już od dawnego czasu głęboka i zacięta nienawiść. Teraz przeciwnie, spotykano często wice-hrabiego Marcelina na drodze dotykającej alei prowadzącej do pałacu d'Albrays, a nawet widziano go znikającego między rozłożystemi drzewami parku.

„Nie sami tylko wieśniacy zwrócili uwagę na tak częste w tę stronę przechadzki Marcelina de Mortrée. Leśniczy który mu udzielił pomocy, nazywał się Jan Torquenié. Miał lat dwadzieścia cztery; dwa lata temu zaślubił bardzo piękną dziewczynę, mleczną siostrę hrabiny de Trémeillan, i kochał ją namiętnie. Torquenié był gwałtowny i zazdrosny, wkrótce też zaczął patrzeć niechętnie na wycieczki wice-hrabiego w okolice pałacu. Parę razy wychodząc rano do lasu, spotkał pana de Mortrée; pewnego dnia gdy wrócił do siebie wcześniej niż zwykle, spostrzegł nawet tuż przy swym domku, przywiązanego do płotu konia wice-hrabiego Marcelina, a wszedłszy do kuchni, zastał go siedzącego przy kominie. Maryanna Torquenié przyrządzała dla wice-hrabiego polewkę z wina, ponieważ deszcz spotkał go w drodze i przemoczył na nim ubranie. Torquenié wchodząc dostrzegł wyraz zadziwienia w oczach żony, a niezadowolnienie na twarzy wice-hrabiego, i gdy ten się oddalił, wyrzucał ostro Maryannie że przyjmowała podobne odwiedziny.

„Charakter Maryanny Torquenié usprawiedliwiał poniekąd obawy jej męża; była bardzo piękna, ale też bardzo lekkomyślna i zalotna. Jeszcze przed pójściem zamąż zarzucano jej pewne ramansowe intrygi, i pogłoski te zaszkodziły jej dobrej sławie; to też gdy Jan Torquenié postanowił się z nią ożenić, rodzice jego nie chcieli przez kilka miesięcy zezwolić na ten związek.

„W usposobieniu i obejściu Jana Torquenié zaszła widoczna zmiana, od chwili w której wice-hrabia de Mortrée zaczął ukazywać się tak często w pobliżu parku Trémeillan. Był zawsze prędki, teraz stał się popędliwym; gniewał się na żonę i czynił jej gorzkie wyrzuty, jakkolwiek nie śmiał powiedzieć jej otwarcie że go tak niepokoi częsta obecność wice-hrabiego w pobliżu jego domu. Uskarżał się na obojętność Maryanny, powtarzał nieraz że nie kochała go nigdy. Pewnego dnia, wieśniak z Bourrée spotkał go siedzącego w lesie przy drodze; postawił fuzyę przy sobie, a twarz ukrył w dłoniach. Posłyszawszy zbliżające się kroki, podniósł głowę; wtenczas wieśniak zobaczył że oczy jego były zalane łzami i zapytał go co mu się takiego stało. Jan Torquenié spojrzał na niego dzikim wzrokiem i powiedział aby sobie poszedł precz.

„W kilka minut później zbliżyła się do niego stara kobieta zbierająca gałęzie. Posępna mina leśniczego zwróciła także jej uwagę i rzekła żartując:

— Na kogo tu czekasz, Janie, na królika czy też na wice hrabiego?

„Zerwał się wtenczas jak szalony ściskając strzelbę w rękach, i zawołał uderzając nogą w ziemię:

— Chciałbym zobaczyć tam, głęboko, twego wice-hrabiego, złośliwa żmijo!...

Nakoniec inny jeszcze świadek, Piotr Desplas, weterynarz, który przywołany przez hrabiego mieszkał kilka dni w domu leśniczego i zajmował pokoik nad pokojem Jana i jego żony, zeznał: iż pewnej nocy przebudziła go gwałtowna między nimi sprzeczka; nie słyszał dobrze co mówili, ale zapewnia iż Torquenié wpadł w taką wściekłość, że z piersi jego już nie głos ludzki ale ryk się wydobywał.

„Mówił że życie jego będzie odtąd ciągłą męczarnią, że nie zdoła znieść dłużej obojętności Maryanny; że go oszukiwała, dręczyła, i że jeżeli to potrwa dłużej, gotów dopuścić się czegoś strasznego. Świadek słyszał powtórnie jeszcze też same słowa i stwierdził przysięgą swoje zeznanie.

„Tak zazdrość Jana Torquenié jak jej powody znane były w całej okolicy, dla tego też gdy wice-hrabia de Mortrée został zamordowany na drodze, zaczęły rozchodzić się pogłoski że to zapewnie Jan Torquenié popełnił tę zbrodnię.

„Jednak sąd nie poszedł odrazu za temi wskazówkami. Przeszłość Jana Torquenié była nienaganną; hrabia de Trémeillan przyznawał że był człowiekiem wiernym, uczciwym i spełniał gorliwie swe obowiązki. Wprawdzie z powodu swej opryskliwości nie wielu miał przyjaciół, ale poczęści i surowe jego obchodzenie się z dopuszczającymi się kradzieży w lasach zostających pod jego nadzorem, mogło być powodem niechęci wielu osób.

„Wkrótce jednak głos opinii zaczął tak jawnie i wyraźnie oskarżać leśniczego, że władza sądowa musiała rozpocząć śledztwo. W piętnaście dni po spełnieniu zbrodni, zrobiono rewizyę w mieszkaniu leśniczego hrabiego de Trémeillan.

„Maryanna leżała w łóżku chora i nieprzytomna, doglądała jej stara służąca z pałacu, zwana Wilczycą; leśniczego nie było w domu. Sędzia przywołał do siebie Wilczycę.

— Jak dawno Maryanna dostała tej gorączki? zapytał.

— Parę tygodni temu. Zachorowała nagle rano, i od tego czasu nie odzyskała przytomności.

„Sędzia zażądał aby mu dokładniej oznaczyła dzień w którym Maryanna zachorowała. Wilczyca namyślała się czas jakiś, następnie zaś powiedziała że 26 kwietnia, a zatem na drugi dzień po śmierci Marcelina de Mortrée. Obejrzano fuzye leśniczego; trzy myśliwskie jego strzelby były zbyt małego kalibru, aby można w nie włożyć kulę wyjętą z rany wice-hrabiego, ale znaleziono w szafie krótki karabinek, do którego pasowała doskonale i który jeszcze czuć było prochem.

„Maryanna nie zdawała się słyszeć ani też rozumiéć co się koło niej dzieje, nie zadawano więc jej żadnych zapytań.

„Jan Torquenié wrócił do domu. Spostrzegłszy urzędników sądowych, zbladł widocznie, i okrzyk zadziwienia wydobył się z ust jego. Prokurator krolewski uwiadomił go jakie na nim cięży podejrzenie, i żądał aby się usprawiedliwił, oznajmiając gdzie był w nocy 24 kwietnia. Leśniczy upadł na krzesło chwytając się za głowę obydwoma rękami, ale nic nie odpowiedział. Pokazano mu strzelbę znalezioną w szafie, oznajmiając że kula która ugodziła wice-hrabiego Marcelina, była tego samego kalibru.

„Zapewnił że nie używał jej od dawna, że dwa lata temu zastrzelił z niej wilka, a następnie wyczyścił i schował, nie pojmuje więc jakim sposobem była teraz zaczerniona prochem. Zażądano aby pokazał kule których używał do tej strzelby; odpowiedział że nie wie gdzie się podziały.

„Nie umiał także dać dokładnej odpowiedzi na zapytanie gdzie się znajdował w nocy dnia 25 kwietnia; utrzymywał tylko że już od piętnastu dni wracał z lasu około północy.

„Niedokładne odpowiedzi leśniczego, jego pomieszanie, a nadewszystko znalezienie u niego strzelby za pomocą której, prawdopodobnie, popełniono morderstwo, wszystko to utwierdzało podejrzenia rzucane na niego, przez osoby znające gwałtowność jego charakteru.

„Nie było jednak dostatecznych dowodów aby mógł być aresztowanym natychmiast, zresztą trzeba było czekać dopóki Maryanna nie będzie w stanie odpowiadać na czynione jej pytania. Tymczasem sąd nie poprzestając na odebranych wskazówkach, czynił dalej gorliwe poszukiwania w celu odkrycia zabójcy wice-hrabiego de Mortrée.

„Gdy się to działo, Maryanna Torquenié zakończyła życie. Trudno było przypuścić aby się stała ofiarą nie zbyt ciężkiej choroby zatrzymującej ją w łóżku. Ta śmierć tak nagła i prawie nienaturalna, ściągnęła znów uwagę sądu i publiczności na domek leśniczego. Czy też Jan Torquenié obawiając się zeznań zony, nie dopuścił się nowej zbrodni aby usunąć świadka, który mógł odkryć potępiające go szczegóły.

„Zrobiono sekcyę, i delegowany do niej doktór przekonał się że zmarła została otruta fosforem, zadanym jej w tak znacznej ilości, że całe ciało było nim przesycone.

Niepodobna już było wahać się dłużej: któż mógł miéć jakiś cel w popełnieniu tej zbrodni, jeżeli nie Jan Torquenié? Aresztowano go i zawieziono do Rennes.

„Przez kilka miesięcy nie chciał się przyznać do popełnionych zbrodni. Nie przeczył iż go drażniła tak częsta obecność wice-hrabiego de Mortrée w pobliżu jego domu, ale nie powątpiewał nigdy o niewinności Maryanny, a gdyby nawet była występną, nie jest tak podłym aby miał strzelać z zasadzki do bezbronnego człowieka, i otruć kobietę którą kochał nad życie.

„Nakoniec, pewnego dnia, dręczony zapewnie wyrzutami sumienia, zażądał aby go stawiono przed sędzią śledczym, a gdy uczyniono zadość jego prośbie, przyznał się do wszystkiego. Zeznał, że powodowany zazdrością, zamordował wice-hrabiego Marcelina de Mortrée, a następnie otruł żonę bulionem, do którego wrzucił kilka pigułek z fosforem, przyrządzonym dla wygubienia szczurów.

„W skutku czego, i t. d.

## VIII.

„Podczas czytania aktu oskarżenia, Jan Torquenié siedział na ławie nieruchomy, z głową pochyloną na piersi; dopiero przy końcu zdawał się wychodzić z otrętwienia, a gdy przyszło do wzmianki o jego przyznaniu się do winy, zadrżał i rzucił do koła błędnym wzrokiem.

„Po przeczytaniu aktu oskarżenia, prezydujący przystąpił do badania obwinionego.

„Pytanie. — Janie Torquenié, wstań. Ile masz lat?

„Odpowiedź. — Dwadzieścia cztery.

„P — Dotąd postępowanie twoje było nienaganne, objąłeś miejsce po twym ojcu, który był także leśniczym hrabiego de Trémeillan. Ojciec dziś żyjącego hrabiego lubił cię bardzo i dał ci wyższe wykształcenie; czas jakiś pobierałeś nawet nauki z młodszym jego synem, już nieżyjącym. Nauczyciel który cię zna od dziecka, wyraził się pochlebnie o twych zdolnościach, ale dodaje że miałeś zawsze charakter gwałtowny; że raz gdy nie mogłeś zrozumiéć prędko zadania ktore ci tłomaczył, przewróciłeś stół przy którym siedziałeś.

„W 1845 roku ożeniłeś się z Maryanną Danet, i masz już małą córeczkę. Żona twoja przed ślubem była uważaną za dość lekkomyślną; zalecał się do niej pewien młody człowiek z Bonnières.

„Obwiniony dał znak że chce mówić, ale z ust jego wyszły tylko jakieś niezrozumiałe słowa.

„Prezydujący. — Wzywam cię abyś odpowiadał głośno i wyraźnie na zadawane ci pytania. Nie zapominaj że idzie tu o rzecz bardzo ważną dla ciebie. Zbrodnią którą popełniłeś...

„Pan Rousseau, obrońca obwinionego powstaje z żywością:

„— Wybacz, panie prezesie, ale zdaje mi się że mój klient staje przed sądem jako obwiniony, nie zaś jako przestępca.

„Prezydujący. — Nie zapominaj, panie Roussaau, że kierunek sprawy do mnie należy; zechciej wrócić na swoje miejsce Obwiniony, czy przyznajesz że twoja żona była lekkomyślną i zalotną, i że nieraz wyrzucałeś jej to z żywością?

„Obwiniony. — Maryanna była uczciwą kobietą... tak panowie, uczciwą kobietą. A! jakaż to męczarnia!...

„Upada przygnębiony na ławkę.

„Prezydujący. — Odpowiadaj spokojnie. Te wszystkie objawy rozpaczy nie zmienią zdania przysięgłych. Nie zadają ci tu żadnych męczarni.

„P. Rousseau. — Panie prezesie, ten człowiek kochał bardzo żonę i dziecko, zadawane przez pana pytania rozjątrzają ciężkie i świeże jeszcze rany jego serca.

„Prezydujący. — Jednak ta miłość do żony nie powstrzymała go od otrucia jej. Panie Rousseau proszę nie przerywać co chwila badania; nie wolno panu odpowiadać za obwinionego.

„P. Rousseau. — Mój nieszczęśliwy klient jest tak osłabiony z powodu długiego pobytu w więzieniu, że prawie nie jest w stanie odpowiadać sam za siebie. Proszę o trochę litości dla niego, i sądzę, panie prezesie, że wstawiając się za nim, spełniam tylko moją powinność.

„Prezydujący. — Raz jeszcze proszę pana, abyś nie stawał co chwila między prezydującym i obwinionym. Człowiek ten posiadał zawsze niezwykłą energię, a jeżeli teraz okazuje się tak znękanym, to widać że doprowadziły go do tego wyrzuty sumienia, lub że to potrzebne do roli którą zamierza odegrać.

„Prezydujący przebiega wypadki poprzedzające zbrodnię. Przypomina że gdy wice-hrabia de Mortrée spadł z konia i złamał rękę, został przeniesionym do Jana Torquenié, i pozostał tam parę dni. Tam poznał Maryannę która go pielęgnowała, i nie ma w tem nic nadzwyczajnego że pokochał się w tak młodej i pięknej kobiecie, a chcąc ją widywać, zaczął bywać u leśniczego. Maryannie pochlebiały zapewnie grzeczności wice-hrabiego Marcelina, a że Jan Torquenié pełnił obowiązki zmuszające go do częstego oddalania się z domu, nadużyła prawdopodobnie pozostawionej sobie wolności, zawiązując stosunki z panem de Mortrée. Wice-hrabia był człowiekiem bez zasad, bez religii, zapewnie więc nie uważał za coś zdrożnego zbałamucenie żony człowieka który pośpieszył mu na pomoc i dał u siebie schronienie.

„Po wyliczeniu tych faktów, prezydujący przystąpił znów do badania obwinionego.

„P. — Czy przyznajesz że częsta obecność wice-hrabiego de Mortrée w pobliżu pałacu, obudziła w tobie gwałtowną zazdrość?

„Obwiniony stara się widocznie zapanować nad sobą.

„— Nie, nie byłem zazdrosny; wiedziałem że Maryanna jest najlepszą i najuczciwszą kobietą; nie chciałem tylko aby narażała się na obmowę.

„P. Słyszano, że czyniłeś jej nie raz gwałtowne wyrzuty.

„O. — Maryanna była młoda, niedoświadczona, lubiła gdy ją chwalono; ja zaś znając złośliwość ludzką, obawiałem się aby nie mówiono o niej tego co teraz mówią. Pragnąc ją i siebie uchronić od podobnych następstw, błagałem aby była ostrożniejsza, i nie przyjmowała u siebie pana de Mortrée.

„P. — Cóż na to odpowiadała?

„O. — Śmiała się i mówiła że jestem nierozsądny, że wice-hrabia Marcelin nie powiedział jej nigdy ani jednego czułego słowa, że przyjęła go tylko parę razy, gdy przyszedł nam podziękować, i że to nie jej wina jeżeli sobie wybrał okolice pałacu za cel swych spacerów.

„P. — Świadek który zostanie wkrótce przywołanym, słyszał cię powtarzającego dwa razy, że jeżeli to potrwa dłużej, możesz dopuścić się czegoś strasznego.

„O. — Powiedziałem to bez złej myśli, w chwili uniesienia. Przysięgam w Imię Boga, że nie miałem nigdy złych zamiarów względem wice-hrabiego de Mortrée i mojej biednej Maryanny.

„P. — Próbujesz nowego systemu obrony. (*Zwracając się do przysięgłych.*) Panowie przysięgli, muszę was uprzedzić, że podczas indagacyi obwiniony przyznał się do zbrodni; uznał się winnym morderstwa pana de Mortrée i otrucia swej żony, i dał co do tego szczegółowe objaśnienia.

„O. — Nie... nie... tak nie było... Straciłem głowę... nie wiedziałem co mówię! O! błagam was, panowie, nie wierzcie temu że przyznałem się do zbrodni. Jestem niewinny... zupełnie niewinny!...

„Prezydujący. — Przeczytam protokuł śledztwa dla wiadomości przysięgłych.

„Jan Torquenié zeznaje że wychodząc z domu o północy dnia 25 kwietnia, zapowiedział że nie wróci aż następaego dnia wieczorem, tymczasem powrócił około czwartej rano. Zawołał na żonę, a nie odbierając odpowiedzi podważył drzwi, i gdy już miał wejść do domu, usłyszał taki odgłos jakby coś ciężkiego spadło do ogrodu. Ponieważ zaczynało się już rozwidniać, zobaczył jakiegoś człowieka przeskakującego przez płot, wtenczas uchwycił krótką strzelbę, która już od pewnego czasu była nabita, i zaczął gonić za uciekającym, który biegł potykając się często przez uprawną rolę. Torquenié okrążył przez zagajnik i zaczaiwszy się przy *Trou du Chat*, poznał w uciekającym wice-hrabiego de Mortrée. W chwili gdy ten ostatni chciał przeskoczyć przez rów, strzelił i zabił go na miejscu.

„Skoro dowiedział się że głos publiczny oskarża go o to morderstwo, i że sąd zrobił u niego rewizyę, przerażenie jego doszło do najwyższego stopnia, i tak aby zemścić się na Maryannie, jak chcąc pozbyć się niebezpiecznego świadka, otruł ją fosforem.

„Prezydujący dodał że te zeznania były wydarte obwinionemu słówko po słówku, przez sędziego prowadzącego śledztwo w tej sprawie, z gorliwością godną największych pochwał.

„Po przeczytaniu tego protokułu, obwiniony, który zdawał się słuchać go z jakimś rodzajem osłupienia, zerwał się z ławki i zawołał:

„— Ale ja tego nie mówiłem.. to być nie może! Nic sobie nie przypominam... Panowie! panowie! musiałem być nieprzytomny... pragnąłem aby mnie już raz osądzono... opowiadałem co tylko chciano... Sześć miesięcy więzienia, czy słyszycie?... sześć miesięcy... odosobnienie... prześladowanie... Mój Boże! mój Boże! a jednak jestem niewinny!...

„Upada na ławkę jakby mu sił zabrakło. Prezydujący zadaje mu jeszcze kilka pytań na które nie odpowiada.

„Prezydujący. — Nie mamy potrzeby przedłużać badania. Obwiniony wyznawszy swą zbrodnię z najdrobniejszemi szczegółami przy indagacyi, cofa teraz swoje zeznanie, taki system obrony nie doprowadzi go do pożądanego celu. Wyszedłby lepiej na tem gdyby ponowił zeznanie, błagając swych sędziów o pobłażliwość!

„Przystąpimy teraz do przesłuchania świadków.

„Jakelina Frère prała bieliznę przy źródle, niedaleko od domu leśniczego w owym dniu gdy Jan Torquenié wróciwszy do domu, zastał w kuchni wice-hrabiego de Mortrée siedzącego przy Maryannie, przyrządzającej dla niego polewkę winną. Okno było otwarte. Słyszała że obwiniony po oddaleniu się wice-hrabiego, wymawiał żonie że go przyjmuje u siebie.

„Marcin Brévant, rolnik, opowiada: że na dwa dni przed zbrodnią, spotkał Jana Torquenié siedzącego w lesie przy drodze z fuzyą w ręku. Był bardzo ponury; świadkowi się zdaje że mówił coś o śmierci i zemście.

„P. Rouseau. — Ten ostatni szczegół świadek podaje po raz pierwszy. W akcie oskarżenia nie ma o nim żadnej wzmianki.

„Prezydujący. — Świadek mógł później przypomnieć to sobie.

„P. Rousseau. — Zwracam uwagę przysięgłych że świadek jest zupełnie pijany.

„Marta Alabrégue zeznaje, że tegoż samego dnia i w tem samem miejscu, zastała Jana Torquenié który gdy żartowała z niego, zawołał z gniewem, uderzając nogą w ziemię: „Chciałbym zobaczyć twego wice-hrabiego tam głęboko!”

„Piotr Desplas zeznaje, że kiedy mieszkał przez parę dni w domku leśniczego, przebudził go raz hałas dochodzący z dołu. Leśniczy kłócił się z żoną. Torquenié wyrzucał Maryannie że go już nie kocha, że jest zalotną, a w końcu powiedział, że jeżeli to potrwa dłużej, to gotów dopuścić się czegoś strasznego.

„Prezydujący zapytuje świadka czy pojmuje całą ważność swego zeznania, i czy jest pewnym że słyszał te słowa.

„O. — Tak, panie prezesie.

„P. Rousseau. — Torquenié chciał przez to powiedzieć, że gdyby przyszło mu cierpieć dłużej jeszcze, byłby zdolnym odebrać sobie życie.

„Prezydujący. — Strasznie nadciągnięte tłomaczenie, panie Roussedau. Przysięgli zawyrokują co jest prawdopodobniejszem.

„Obwiniony z żywością. — Tak, tak, to właśnie chciałem powiedzieć. Byłem oburzony plotkami które o nas rozsiewano. Przypominam sobie że płakałem jak dziecko w objęciach Maryanny i powiedziałem do niej: Jeźli mnie przestaniesz kochać, zabiję się...

„Prezydujący. — Czyli raczej zabiję *cię*.

„Obwiniony zakrywa twarz rękami z okrzykiem boleści i płacze głośno.

„P. Rousseau. — Panie prezesie, upraszam pana o litość nad tym człowiekiem, pozwól mi przypomnieć raz jeszcze że nie jest jeszcze osądzonym, że zatem nie winowajcę ale obwinionego widzisz pan przed sobą, a sposób w jaki zadajesz mu pytania...

„Prezydujący. — Nie mogę zezwolić na to aby obrońca wyrażał się powątpiewająco o bezstronności prezydującego. Już drugi raz krytykuje odbywające się badanie. Proszę go aby mnie nie zmuszał do trzeciego upomnienia.

„P. Rousseau. — Wystąpię z protestacyą ile razy uznam to za konieczne; czyniąc to spełniam tylko mój obowiązek.

„Prezydujący. — Panie Rosseau, nie zdołasz gwałtownością swoją wpłynąć na zdanie przysięgłych.

„P. Rousseau. — Pragnę, panie prezesie, aby stronność twoja nie wpłynęła także na ich przekonanie.

„Po tem przemówieniu które sprawiło żywe wrażenie na słuchaczach, prezydujący zawiesza posiedzenie na kilka minut.

„Po rozpoczęciu powtórnie posłuchania, prezes uskarża się z wielkiem umiarkowaniem i godnością, na napaści które go spotkały ze strony obrońcy. Prezydował już na tylu posiedzeniach sądów karnych, a pierwszy raz dopiero został posądzonym o stronność. Nie chce zwracać uwagi na podobne oszczerstwa, które możnaby chyba wytłomaczyć rozpaczliwem położeniem klienta, którego obrońca chce ocalić jakimbądź sposobem.

„P. Rousseau oświadcza że nie będzie już przerywał badania. Nie wie czy jego klientowi grozi niebezpieczeństwo, i pan prezydujący nie powinien także wiedzieć o tem, skoro przysięgli nie objawili jeszcze swego zdania. Ograniczy się tylko na zadawaniu świadkom niezbędnych zapytań, i dopiero w obronie poczyni swoje uwagi tak co do indagacyi jak co do przesłuchania sprawy.

„Przywołują ostatniego świadka: Wchodzi Wilczyca.

„Ukazanie się tej kobiety sprawiło pewne wrażenie; to co wiedziano o jej przeszłości i charakterze, musiało budzić ciekawość. Rodzina jej już od niepamiętnych czasów zostawała w usługach hrabiów de Trémeillan. Jej ojciec zginął na rusztowaniu z dziadkiem obecnie żyjącego hrabiego. Jest to istota ponura a zarazem zdolna do szalonych uniesień; w okolicy utrzymują że nie zawsze posiada zupełną przytomność umysłu. W 1832 r. towarzyszyła hrabiemu do Wandei, gdzie walczył w sprawie księżnej Berry. Dowodziła bandą szuanów, i przez kilka miesięcy ukrywała się w lesie, gdzie jak dzikie zwierzę mieszkała w jamie wykopanej w ziemi! Z tego powodu towarzysze nazwali ją Wilczycą, i to przezwisko zostało jej na zawsze.

„Jest to kobieta nizka i krępa, trzyma się bardzo prosto. Z pod czepka ukazują się czarne włosy, wśród których zaledwie gdzie niegdzie połyskują siwe. Twarz brzydka i pospolita odznacza się wyrazem niezwykłej energii. Bystre i przenikliwe oczy błyszczą pod krzaczastemi brwiami; zwraca je śmiało na sędziów. Ze swą żółto-śniadą cerą, nizkiem czołem, wystającą dolną szczęką i grubemi ustami, wygląda tak jakby krew murzyńska płynęła w jej żyłach.

„Na pytania prezydującego odpowiada wolno, jakby rozumiała dobrze ważność każdego wymówionego przez siebie słowa. Głos jej jest chrapliwy i przytłumiony.

„Ona to przechodząc 26 kwietnia około domku leśniczego uwiadomiła Maryannę, że wice-hrabia de Mortrée został zamordowany na drodze.

„Maryanna dowiedziawszy się o tem krzyknęła i padła na ziemię zemdlona. Podniosła ją wtenczas i zaniosła na łóżko. Może w godzinę poten

Jan Torquenié wrócił do domu; był ponury i rozdrażniony. Nie słuchał prawie gdy mu Wilczyca powiedziała że żona jego jest słaba, poszedł natychmiast do miski w której stała woda i umył w niej ręce. Nie miał wcale fuzyi tylko kij w ręku. Wilczyca zapytała go zkąd wraca, odpowiedział że obchodził las Giévres. — Bez strzelby? zapytał znów świadek. Jan Torquenié odwrócił się nie dając żadnej odpowiedzi.

„Obwiniony. — Wszystko to fałsz... kłamstwo.

„Prezydujący. — Podsądny, nie przerywaj świadkowi. Ta kobieta była przez całe swe życie wzorem wierności i poświęcenia, a zresztą nie ma potrzeby kłamać. Dzięki swym żywym i szczerym uczuciom religijnym, pojmuje całą ważność przysięgi którą zobowiązała się mówić tylko prawdę.

„Obwiniony. — Skłamała.. panowie, ta kobieta kłamie!... (Zwracając się do świadka). Po co mówisz inaczej jak było?... Wszedłem do domu z fuzyą w ręku; dowiedziawszy się że Maryanna jest słaba, pobiegłem do jej łóżka; nie myłem wcale rąk; nie powiedziałem ci że byłem w lesie Giévres... kłamiesz... lub nie wiesz sama co mówisz. Przypomnij sobie... Powiedz że czuwałem wraz z tobą przy łóżku Maryanny, i otaczałem ją najtkliwszemi staraniami.

„Wilczyca zwraca się ku obwinionemu i wpatruje się w niego przez chwilę. Następnie odwracając się do prezydującego:

„Przysięgam że mówię prawdę, rzekła pewnym głosem.

„Prezydujący wzywa ją aby mówiła dalej.

„Pielęgnowałam Maryannę blizko trzy tygodnie. Przychodziłam codzień, przynosiłam jej mleko, opiekowałam się także jej dzieckiem; słowem czyniłam dla niej wszystko co mogłam, gdyż proboszcz zaleca nam zawsze abyśmy dopomagali naszym bliźnim gdy tego potrzebują. Miała gorączkę i często mówiła od rzeczy.

„Prezydujący. — Czy nie przypominasz sobie o czem mówiła?

„O. — Wymawiała często imię Marcelin. (Wrażenie.) Niekiedy także, z tego co mówiła można się było domyśléć że obawia się męża... Strzeż się, wołała, on wie o wszystkiem, zabije nas!... Następnie wydawała krzyki rozdzierające serce.

„P. — W domu leśniczego była rewizya, gdy byłaś przy Maryannie?

„O. — Tak, panie prezesie, ale ona nie wiedziała o niczem; miała silną gorączkę.

„P. — Jakie wrażenie ta rewizya sprawiła na obwinionym?

„O. — Był tak przestraszony że aż szczękał zębami.

„P. — Opowiedz nam szczegóły śmierci Maryanny.

„O. — Było to około połowy maja. Od czterech dni była już zdrowsza; podnosiła się i posilała trochę. Jednak po kilka razy na dzień miewała jakieś dziwne dreszcze: ot tak: (świadek podrzuca się w górę wstrząsając całem ciałem.) Zdawała się zostawać pod wpływem strasznej obawy. Siadała na krześle w ogrodzie; bawiła się niekiedy z dzieckiem, ale nic nie mówiła.

„P. — Jakie było jej wychodzenie z mężem?

„O. — Unikała jego wzroku, i nie odpowiadała gdy do niej mówił.

„Obwiniony porusza się z żywością i wstrząsa przecząco głową.

„O. Nie wiedziała że w domu była rewizya, i że oskarżano Jana Torquenié iż to on zamordował wice-hrabiego. Wiele kobiet z miasteczka kręciło się około mieszkania mając ochotę z nią mówić, ale odpędzałam te złośliwe żmije. Nie chciałam aby ta biedaczka dowiedziała się co mówią o jej mężu; bojąc się aby to nie zabiło jej na miejscu; widziałam jednak z jej miny że domyślała się wszystkiego, i mogłaby wiele o tem powiedziéć.

„Pewnego dnia zaczęła się uskarżać na silne boleści w żołądku; niewiele przed tem piła buljon.

„P. — Czy przyrządziłaś go sama?

„O. — Tak, panie prezesie.

„P. — Czy Torquenié był w domu?

„O. — Był, i ciągle kręcił się koło mnie.

„P. — Czy on podawał żonie buljon?

„O. — Nie, ja go podawałam, ale przypominam sobie, że gdy po chwilowem oddaleniu się wróciłam do komina, zadziwiłam się spostrzegłszy pokrywkę na rondelku. Powiedziałam nawet zaraz do leśniczego: po co było przykrywać, mogło wszystko wykipić.

„Prezydujący. — Panowie przysięgli, pojmujecie ważność tego zeznania; obwiniony zbliżył się do komina na którym przyrządzono pożywienie dla jego żony. Umarła tejże samej nocy. Torquenié, czy przypominasz sobie te szczegóły? Czy przyznajesz że przykryłeś rondelek w którym gotował się buljon?

„Obwiniony. — Wszystko co ta kobieta mówi jest bezczelnem kłamstwem.

„Ukrywa znowu twarz w dłoniach, i zdaje się bardzo przygnębionym.

„Prezydujący. — Świadku, kończ twoje zeznanie.

„Wilczyca. — Około dziewiątej wieczorem, cierpienia Maryanny wzmogły się bardzo: szarpała wszystko na sobie, wyprężała się, krzyki jej były podobne do ryku; sądzę że można je było słyszéć zdaleka; Torquenié zamknął okno.

„P. — Jakie było jego zachowanie w czasie konania żony?

„O. — Zdawał się bardzo niespokojny... biegał po pokoju; rzucił się na kolana przy łóżku i krzyknął: Przebacz mi, Maryanno!

„Prezydujący do obwinionego. — Czy przyznajesz że wymówiłeś te słowa?

„Obwiniony (ocierając twarz zalaną łzami.)—Może być że je wymówiłem, panie prezesie; poczuwałem się do winy względem mej biednej, drogiej żony, gniewałem się na nią niesłusznie z powodu odwiedzin wice-hrabiego, cóż więc byłoby w tem dziwnego, gdybym widząc ją tak niebezpiecznie chorą, prosił ją o przebaczenie.

„Prezydujący wzywa Wilczycę aby mówiła dalej.

„Wilczyca. — Cierpienia wzmagały się z każdą prawie minutą. Miała wzrok błędny, zdawała się obłąkaną; nie widziałam nigdy w życiu nic równie strasznego... wiła się, rzucała, przyciskając ręce do żołądka; możnaby sądzić że połknęła kawał rozpalonego żelaza.

„Prezydujący do obwinionego. — Czemu nie posłałeś po doktora, widząc tak straszne cierpienia żony?

„Obwiniony. — Posłałem, panie prezesie; Wilczyca może to zaświadczyć. — Musisz przecie pamiętać, Żuaneto, że cię prosiłem abyś poszła po pana Barthélemy; wyszłaś i powróciłaś po chwili, mówiąc żeś uprosiła przechodzącego wieśniaka aby cię wyręczył, ponieważ my oboje nie powinniśmy oddalać się od chorej.

„Wilczyca pewnym głosem. — Wcale sobie tego nie przypominam.

„P. — O której godzinie Maryanna zakończyła życie?

„O. — Koło dziesiątej. Biedna kobieta nie męczyła się przynajmniej długo; niegodziwiec nie żałował jej fosforu.

„P. — Czy obwiniony okazywał jakąś boleść po śmierci żony?

„O. — Tak, płakał.

„Prezydujący. — Dobrze. Możesz usiąść.

„Wysłuchano jeszcze paru świadków, których zeznania nie miały prawie znaczenia. Musimy tylko zaznaczyć: że hrabia de Trémeilan zechciał złożyć przychylne dla byłego leśniczego świadectwo, przyznając że zawsze spełniał swe obowiązki wiernie i gorliwie.

„Prezydujący daje głos prokuratorowi popierającemu oskarżenie. Wnioski jego odznaczają się pewnością i siłą rozumowania.

„Zwraca najprzód uwagę na wiek młodzieńczy i przeszłość obwinionego. Był zawsze bystry i pojętny, ale miał charakter gwałtowny. Zmarły hrabia dał mu wyższe nad jego stan wykształcenie, a nawet zezwolił aby czas jakiś pobierał nauki z jego synem. Był to postępek szlachetny ale może trochę nierozważny.

„Nie dobrze jest, mówi dalej prokurator, aby wzniosłe dobrodziejstwa nauki spadały do niższych klas społeczeństwa. Tym sposobem rozwijamy w nich niekiedy szkodliwe instynkta i żądze; rzucamy w niedoświadczone umysły i serca nasiona zazdrości, które tam wschodzą, rozrastają się, i nakoniec stają się groźnemi dla społeczeństwa. W wyższych sferach nauka przynosi światło, w niższych, pogrąża ludzi w ciemnościach zazdrości i nienawiści.

„Po tych ogólnych uwagach, prokurator oświadcza iż dla niego jest to rzeczą nie ulegającą wątpliwości że Jan Torquenié dopuścił się podwójnej zbrodni. Nie mówiąc już o zeznaniach poczynionych przez obwinionego w czasie indagacyi,—których nie powinien był dla własnego dobra cofać przed sądem, gdyż w takim razie ten dowód jego żalu mógłby wpłynąć korzystnie na przysięgłych, świadczy przeciwko niemu mnóstwo tak silnych dowodów, że jego karygodność jest równie jasną jak słońce.

„Prokurator przebiega znane już fakta, zeznania świadków, i opiera się nadewszystko na świadectwie Wilczycy, „tego wzoru prawości i honoru, tej zacnej sługi najzacniejszego z panów.” Wykazuje że pierwsza zbrodnia była rozmyślną, że Jan Torquenié objawiał już przedtem chęć pozbycia się wice-hrabiego de Mortrée. Dowodzi że otrucie żony było następstwem pierwszej zbrodni, i że leśniczy chciał jednocześnie zemścić się na tej nieszczęśliwej za doznaną od niej zniewagę, i usunąć niebezpiecznego świadka.

„Prokurator przyznaje wszakże iż można przytoczyć na obronę obwinionego okoliczności łagodzące; ten człowiek poniósł najcięższą zniewagę jaką człowiek ponieść może. Kobieta którą kochał, zdradziła go niecnie. Jakąkolwiek odrazę muszą w nas budzić te dwie zbrodnie, czujemy pomimowolnie jakąś litość dla tego nieszczęśliwego.

„Społeczeństwo nie będzie więc wymagać zupełnego zadośćuczynienia za krew przelaną. Nie będzie wymagać życia za życie. Okaże się wspaniałomyślnem oszczędzając tę głowę której zagraża miecz sprawiedliwości. Jednak winny powinien być surowo ukaranym, i dlatego żąda aby został skazanym do ciężkich robót na całe życie.

*(D. c. n.)*

## OPIS DO N. 2.

*(Dokończenie.)*

są materyały nie siepiące się; można dać sukno na materyi, sukno na suknie, safjan na suknie lub safjanie. Do naszycia aplikacyi ściegiem maszynowym trzeba dużej uwagi i wprawy, żeby stębnówka szła równo.

N. 26 i 40. Negliżyk z koronki i wstążki. Podstawę czepeczka stanowi denko sztywnego tiulu, wszyte w pasek z przodu ścięty w ząb 32 cent. długi, w środku 7, w końcach po $2\frac{1}{2}$ c. szeroki; denko zaś zaokrąglone u góry 18 c. szerokie a 14 długie; dolny koniec denka nie wszyty w pasek spada do tyłu. Koronka 8 cent. szeroka, naśladująca prawdziwą duchesse, dana dwoma rzędami ku twarzy; na wierzchu denka ułożona rozeta z tejże koronki przepięta wstążką blado-niebieską atłasową 6 c. szeroką. Przód czepeczka widzimy na r. 40.



N. 1. Sukienka bluzkowa dla dziecka.



O. 3 — 4. Ubrania na lekcye tańca. N. 3. Suknia z tuniką i bluzką. N. 4. Sukienka princesse z szalową draperyą.



N. 2. Sukienka wycięta dla dziecka.

N. 27. Czepeczek z blondyny i wstążki atłasowej.

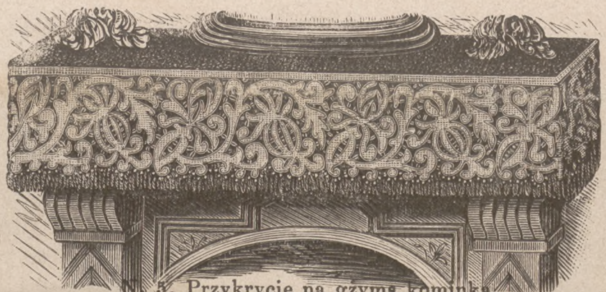
Wymaga podstawy ze sztywnego tiulu jak do ryc. 26; blondyna biała jedwabna 19 i 7 cent. szeroka, dana czterema rzędami ku twarzy, pokrywa w półkole wierzch czepeczka, z tyłu zaś dane są pukielki z wstążki atłasowej, 4 cent. szerokiej, koloru vieil-or, oliwkowego, ciemno-ponsowego i blado-niebieskiego.

N. 28. Postumencik do zegarka. Deseń na arkuszu z krojami fig. 52.

Dwie skrzyżowane z sobą lance po 21 cent. długie, są z drzewa czarno politurowanego z końcami złoconemi; tarcza oparta na nich wycięna się z tektury podług formy fig. 52; od spodu tarczy przytwierdzona jest podstawka utrzymująca postumencik stojący, 9 c. długa, w górze 3 u dołu 5 cent. szeroka. Od spodu tekturkę okleja się czarnym świecącym papierem, z wierzchu zaś pokrycie tarczy stanowi w połowie atlas, w drugiej plusz; haft odrabia się podług fig. 52. Lance u góry związane są kolorowym sznurem z kwastami.



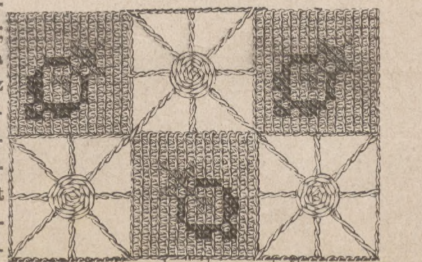
N. 8. Suknia zdobna koronką. Patrz ryc. 14 w N-rze 1.



N. 5. Przykrycie na gzyms kominka. Deseń koronki na arkuszu.



N. 6. Kaftaniczek szydełkowy dla dziecka. Krój na arkuszu N. XII, fig. 47. Patrz ryc. 7.



N. 7. Kwadraciki szydełkowe spajane pajączkami, do ryc. 6.

N. 29—30 i 41. Ubranie spacerowe z fałdowaną spódnicą. Krój na arkuszu N. X, fig. 43—44.

Spódnica fałdowana układana na gładkiej spódnicy oszytej falbaną 11 cent. szeroką, składa się z bryta przedniego i dwóch brytów tylnych, krajanych prosto z materyału podwójnej szerokości podług fig. 43. Po zszyciu tych brytów, przód (którego połowę oznacza litera *a* na fig. 43) składa się podług ryc. 29 w trzy fałdy po 4 c. szerokie zwrócone do środka; każdy z brytów tylnych złożony jest w kontrafałdę 15 cent. szeroką, z pod której wysuwają się płaskie fałdy. Stanik z baskiną stanowiącą z tyłu rodzaj krótkiego vêtement, dopasować trzeba podług formy dobrze leżącej ze zmianą wskazaną na fig. 44. Jak widzimy draperya tylna kraje się w dalszym ciągu przy boczkach, które zszyte są z przodami od pachy do dwukropka. Długi brzeg boczny złożony jest w głęboki pukiel, (krzyżykiem do gwiazdki) jednym rogiem zwrócony do przodu, a drugim zachodzący ku plecom na fałdy oznaczone krzyżykami i kropkami; zszywając boczek z plecami pasuje się gwiazdką do gwiazdki. Ubranie to jest bardzo stosowne do pójścia na ślizgawkę; może być odrobione z pluszu lub aksamitu z materyą jedwabną czy wełnianą, z obłożeniem z piór lub futrzanem. Model był koloru bron-



N. 9. Suknia ze stanikiem z fałdami. Patrz ryc. 39. Krój na arkuszu N. I, fig. 1 — 6.



N. 12. Szlak z narożnikiem do r. 10.

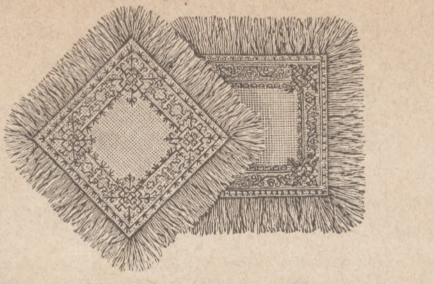
zowego, z sukna i aksamitu, z obłożeniem z piór 11 cent. szerokiem.

## N. 31. Wałek pod głowę.

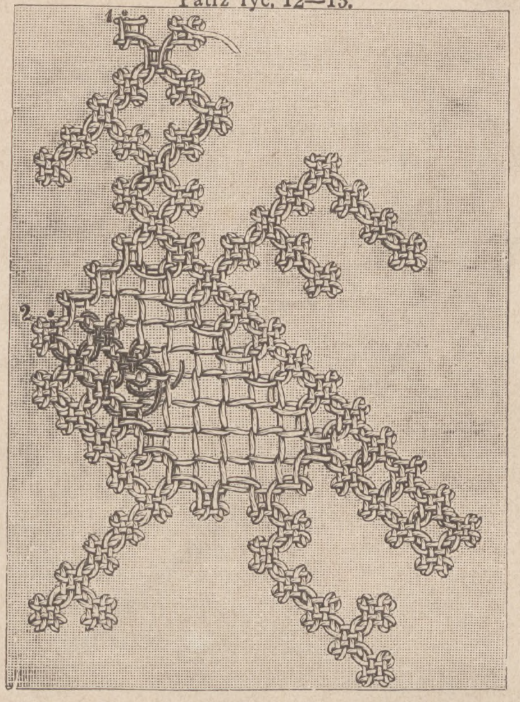
Środek wałka zajmuje 22 cent. szeroki pas kanwy mleczno białej niedzielonej w kratkę, na którym wyszyty półściegiem kolorowy deseń, z boków otoczony dwoma pasami oliwkowego pluszu po 7 cent. szerokiemi, końce zaś pokryte są idącemi wzdłuż naprzemian pasami haftu i pluszu ponsowego. Torsadka strzyżona przykrywa wszystkie szwy.

## N. 32. Wycieraczka do piór.
Haft na skórze. Deseń patrz fig. 51.

Podstawę stanowi kwadracik tekturowy 7 cent. szeroki a 9 długi, z zaokrąglonemi poprzecznemi rogami; od spodu podkleja go się suknem, wystającem w około brzegów



N. 10—11. Serwetki zwane doilies, ze szlaczkami. Patrz ryc. 12—13.



N. 14. Część deseniu na ścieg pleciony. Wzór i opis znajduje się w przeszłorocznych N-rach.

## N. 34—36. Pudełko na kołnierzyki. Deseń patrz fig. 53.

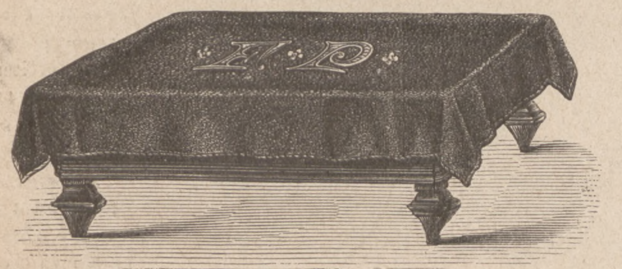
Ryc. 34 przedstawia model praktycznego pudełka na kołnierzyki, 9 c. wysokiego a 18 liczącego średnicy. Ryc. 35—36 i fig. 53 na arkuszu załączają desenie haftu w naturalnej wielkości.



N. 13. Szlaczek do ryc. 10—11.

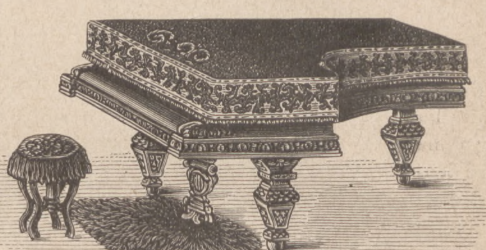
## N. 37. Szlak peruwiański z frendzlą. Ścieg gobelinowy.

Wyszyty jest ściegiem gobelinowym na tle z wełnianego repsu, kolorem ponsowym i niebieskim na tle żółtawo-bronzowem. Frendzlę stanowią wązkie podłużne patki odziergane brzegiem.



N. 17. Przykrycie na bilard. Wzór litery na drugiej stronie arkusza z krojami.

i wycięciem w ząbki, z wierzchu zaś przyszywa ułożony w kontrafałdy prosty pasek czarnego sukna, z brzegu wycięty w ząbki, 4 cent. szeroki, 80 długi. Zwierzchnie przyozdobienie stanowi listek wycięty z ponsowego safjanu podług fig. 51 i wyszyty ściegiem luźnym filozelą blado-niebieską i vieil-or; na fig. 51 oznaczone są dziurki podług deseniu dla ułatwienia wyszycia. Środek listka zajmuje monogram wyszyty złotem na pluszu.



N. 16. Przykrycie na fortepian.

## N. 38. Koronka wywodzona na tiulu z dodaniem torsadki na widełkach.

Dokładność ryciny dostatecznie objaśnia wykonanie; rozetki z torsadki na widełkach stanowią dolne zakończenie i o ile zachodzą na tło tiulowe, są przytwierdzone cieniutką bawełną. U góry dany prosty rząd torsadki, ozdobiony wywodzonemi listkami.



N. 15. Przykrycie z wyszyciem krzyżykowem.



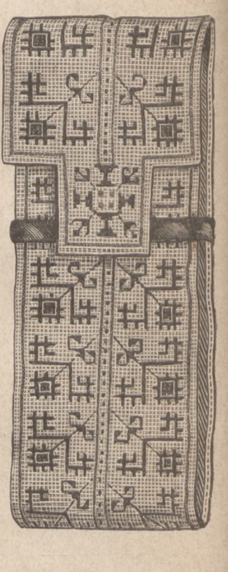
N. 20. Torebka na trzewiki lub szczotki.

## N. 33. Popielniczka w kształcie buta.

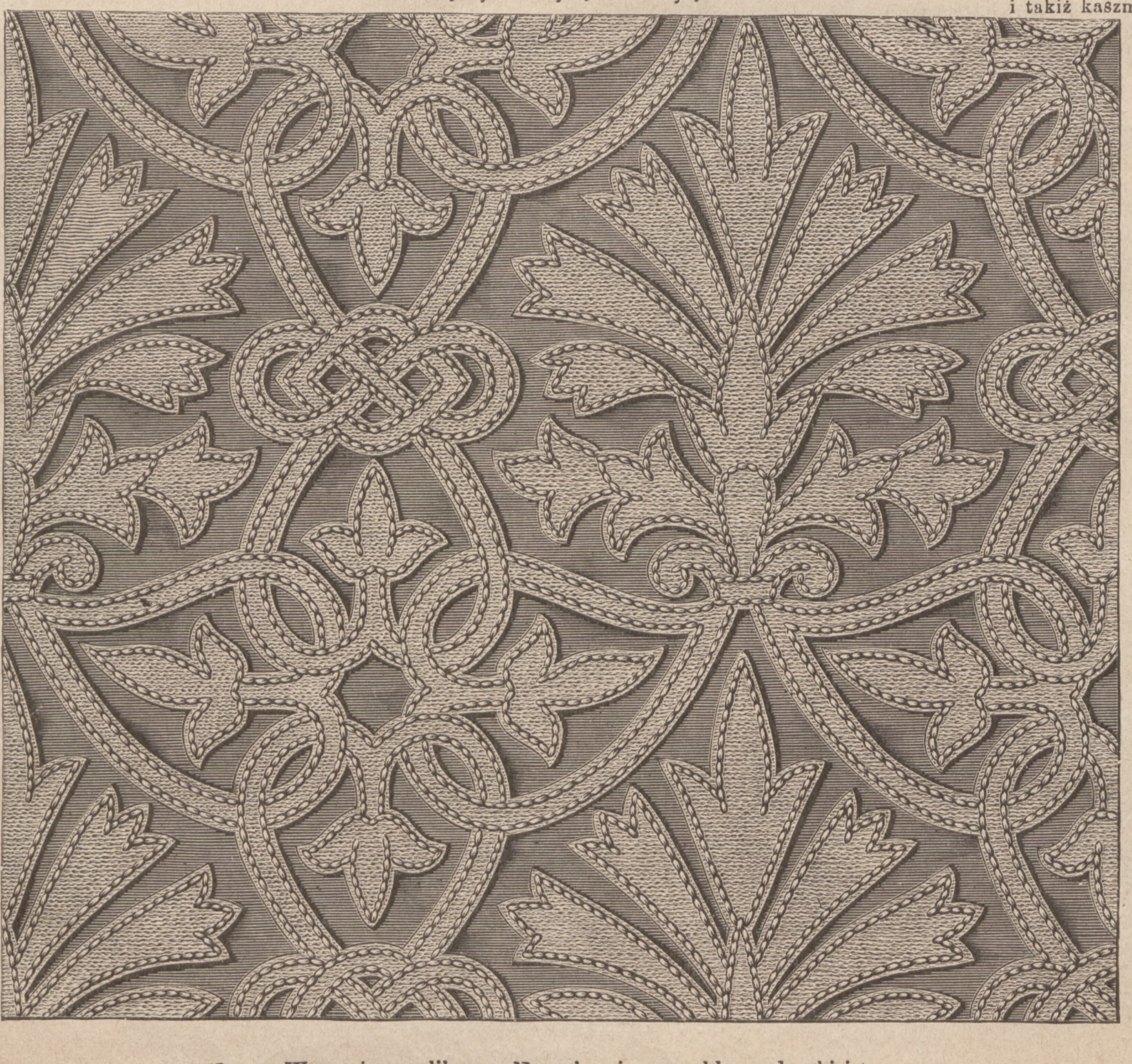
But ten naśladuje noszone przez rycerzy z czasów wojny trzydziestoletniej; sztylpa z pluszu oliwkowego ozdobiona haftem podług ryc. 3 w N-rze 1.

## N. 42. Ubranie wizytowe z haftowanemi szlakami.
Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 45—46.

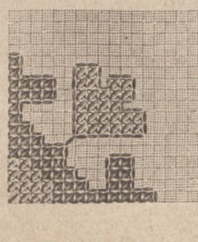
Granatowa mora i także kaszmir stanowią materyał na to gustowne ubranie, efektownie przyozdobione haftowanemi szlakami. Spódnica morowa ma u dołu wolant składany w kontrafałdy, 7 cent. szeroki, na który spada falbana haftowana przyszyta szwem odwracanym, 16 cent. szeroka. Także szlak haftowany zakończa dwa pro-



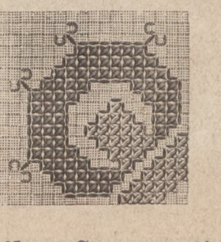
N. 19. Torebka na trzewiki lub szczotki.



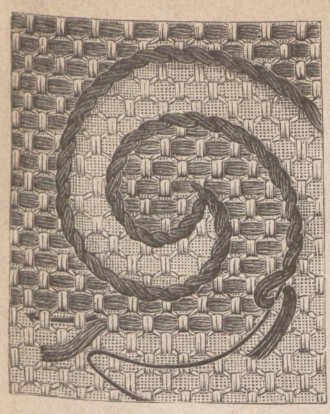
N. 18. Wyszycie z aplikacyą. Na pokrycie na meble, poduszki i t. p.



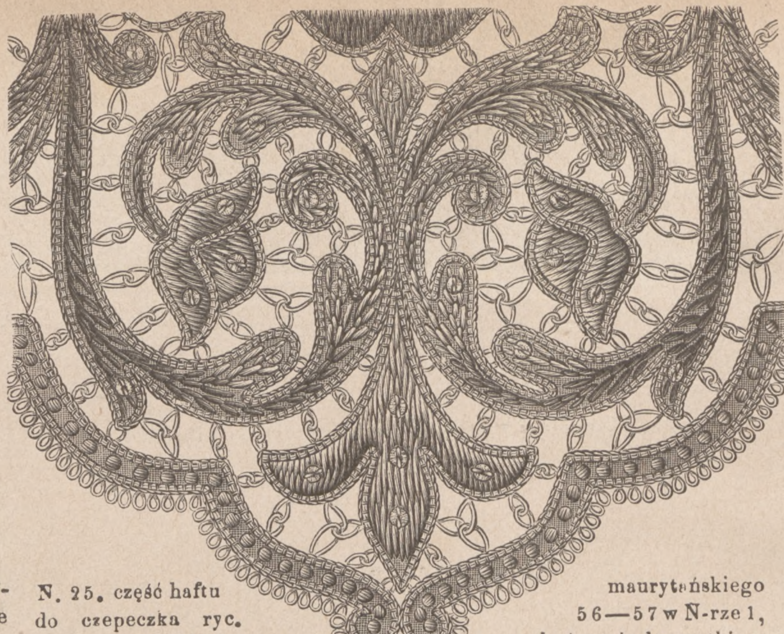
N. 21. Czwarta część kwadracika do r. 20.



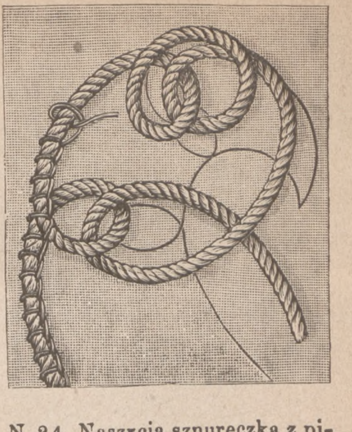
N. 22. Czwarta część kwadracika do r. 19.



N. 23. Wykonanie wyszycia ściegiem sznureczkowym i wywodzonym. Do r. 4—5 w N. 1.

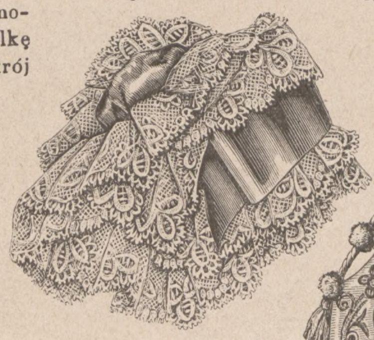


N. 25. część haftu mauryteńskiego do czepeczka ryc. 56—57 w N-rze 1, odpowiednia na zakończenie krawatki

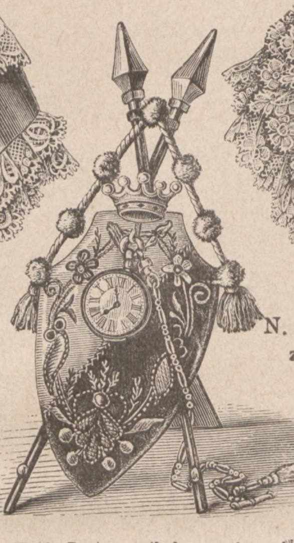


N. 24. Naszycia sznureczka z pikotami, do koronki ryc. 5; deseń na drugiéj stronie arkusza z krojami.

ste bryty stanowiące draperyę, których miarę i ufałdowanie podaje fig. 45. Układ draperyi wskazuje ryc. 42 i fig. 46. Stanik z bawetem ma przy plecach baskinę frakową z dodanem fałdowaniem morowem. Z przodu naszycie haftu tworzy kamizelkę i na rękawach wykłady 7 cent. szerokie. Wykrój szyi otacza pasek morowy.



N. 26. Czepeczek do ubrania negliżowego.



N. 28. Postumencik do zegarka. Deseń patrz fig. 52,



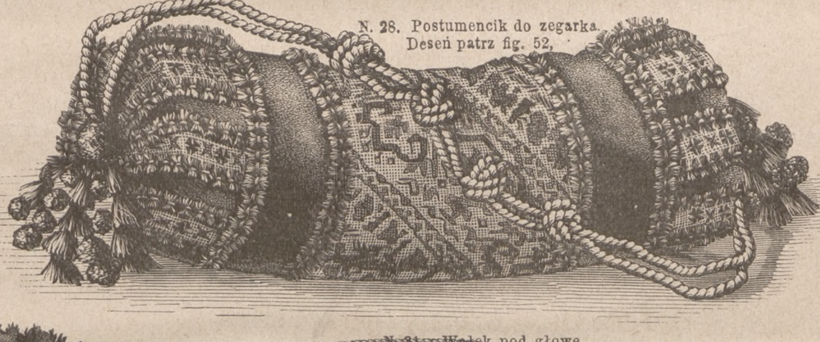
N. 27. Strojny czepeczek z blondyny i wstążki.



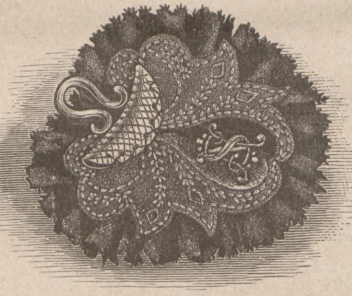
N. 29. Spodnica fałdowana do sukni ryc. 41 i 30. Krój na arkuszu N. X, fig. 43.



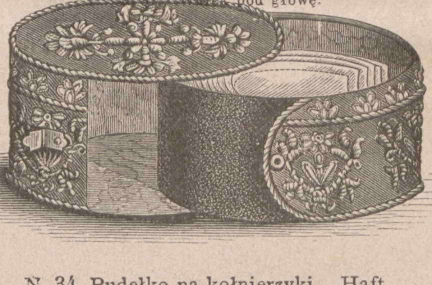
N. 30. Spódnica fałdowana do sukni, ryc. 41 Patrz ryc. 29.



N. 31. Wałek pod głowę.



N. 32. Wycieraczka do piór. Deseń patrz fig. 50.



N. 34. Pudełko na kołnierzyki. Haft złotem. Patrz ryc. 35 i fig. 53.



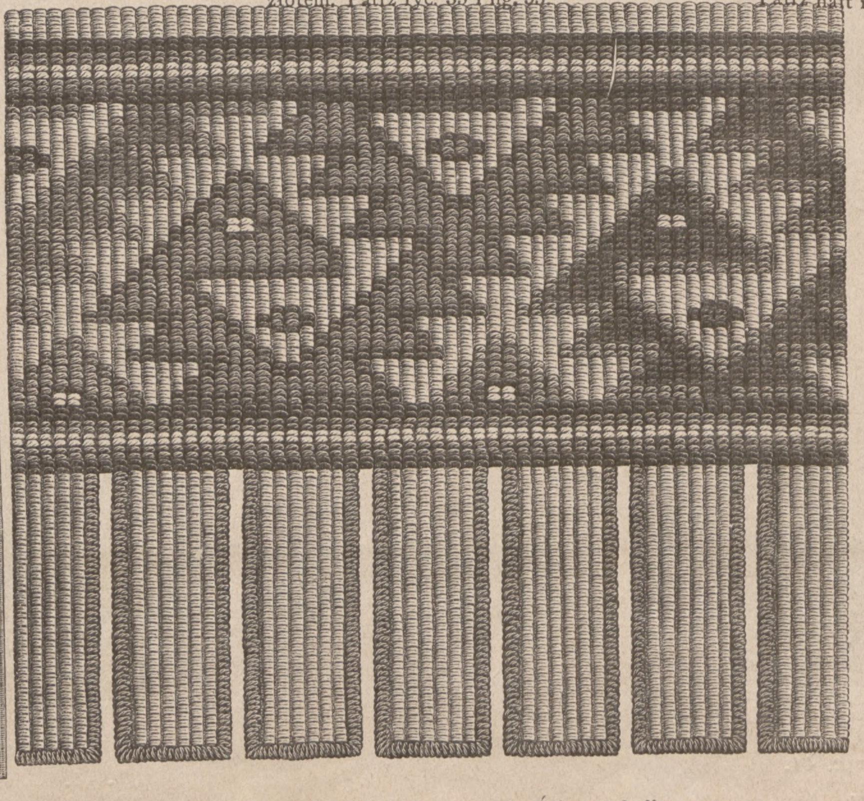
N. 33. Popielniczka. Patrz haft ryc. 3 w N. 1.

## N. 43—44. Kapotka z pluszu i koronki. Krój na arkuszu N. VI, fig. 19—21.

Ryc. 43 i 44 przedstawiają z przodu i z tyłu oryginalną kapotkę z odmiennem przybraniem; na ryc. 43 widzimy kapotkę z pluszu pawiego koloru, podszytą białym aksamitem, zdobną białą hiszpańską koronką i aksamitką w pasy niebieskawe z białem, rzutka z tiulu lub koronki kraje się podług fig. 21 i obszywa w około marszczoną koronką 10 cent. szeroką (potrzeba jej 5 metrów 25 cent.). Górny brzeg jest wyłożony na 5 cent. i podług znaków przyczepiony na denku. Pod koronką przeprowadzone są końce atłasowe 77 cent. długie $2^1/_2$ szerokie związane z przodu.

---

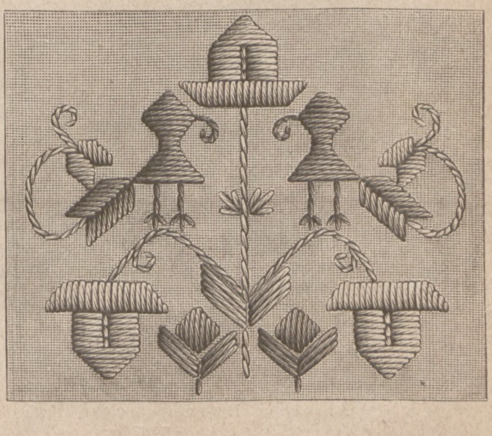
zaś ryc. 44 przedstawia taką kapotkę w czarnym kolorze. Denko (fig. 19) i rondko (fig. 20) podłożone są sztywnym muślinem i podszewką, poczem rondko z brzegu prostego składa się podług znaków w sześć równych kontrafałd i przyszywa do denka od r—s. Szeroka plisa dana jest na szwie; przednie upięcie ułożone z szerokiej wstążki. Za-



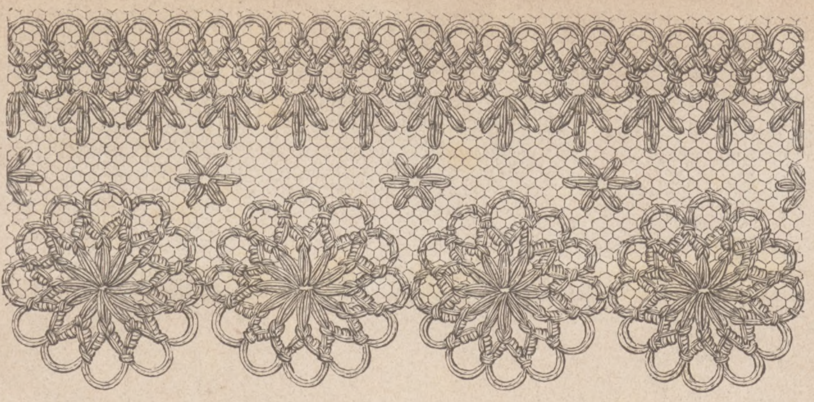


N. 35. Haft złotem do ryc. 34.

N. 37. Szlak peruwiański z frendzlą. Ścieg gobelinowy.



N. 36. Haft płaski.



N. 38. Koronka z wywodzeniem i torsadką na widełkach.



N. 39. Suknia z fałdowanym stanikiem. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.



N. 40. Szlafroczek z przemarszczeniem i bufowanemi rękawami. Patrz ryc. 15 w N-rze 1. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—12a.



N. 41. Ubranie spacerowe z fałdowaną spódnicą. Patrz ryc. 29—30. Krój na arkuszu N. X, fig. 43.

N. 42. Suknia wizytowa z haftowanemi szlakami. Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 45—46.



N. 43. Kapotka z pluszu i koronki. Patrz ryc. 44. Krój na arkuszu N. VI, fig. 19—21.



N. 44. Kapotka z pluszu i koronki. Patrz ryc. 43.

# TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1882 r.

## Dodatek z krojami i deseniami do N. 1 i 2

**N. I. Stanik z wykładami à panier.** Rycina 9 i 39 w N rze 2.
Fig. 1. Połowa przodu (A, B, G, H, J), dwa założenia formy.
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D).
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F).
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H).
Fig. 5. Rękaw (I, K).
Fig. 1a—5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 1—4, z oznaczeniem linją kropkowaną materyału zwierzchniego.
Fig. 6. Wskazanie kroju połowy draperyi,

**N. II. Szlafroczek z bufowanemi rękawami.** Ryc. 15 w N-rze 1 i ryc. 40 w N-rze 2.
Fig. 7. Przód wraz z dwoma boczkami (L, M, N, O, U, *, :, ×, 1 i · do × 2 i · 2)
Fig. 8. Karczek do przodu (S, T, *, :)
Fig. 9. Pierwsza część pleców (P, Q, 3, +).
Fig. 10. Połowa środkowej części pleców (Q, R, ·)
Fig. 11. Karczek do pleców (S, T, +, ·)
Fig. 12. Rękaw (U, V, W, X).

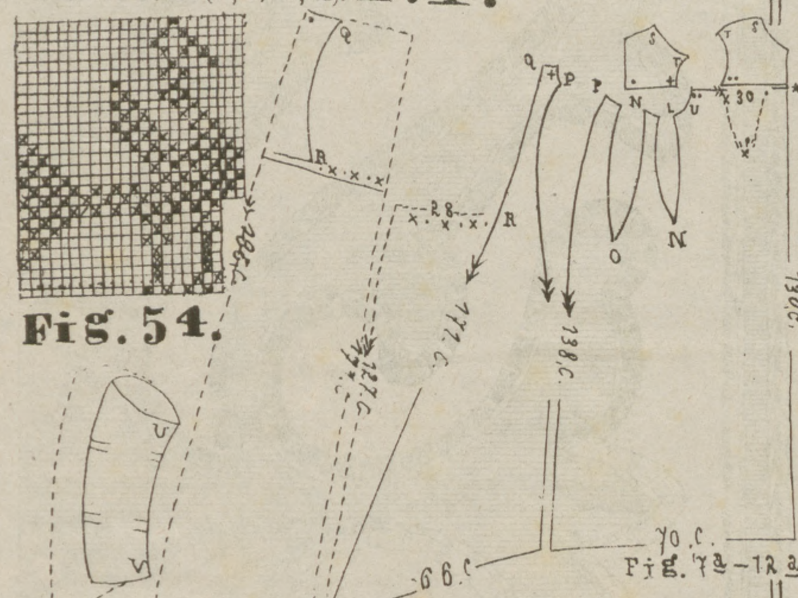


Fig. 54.

fig. 7a—12a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, z onaczeniem linją kropkowaną materyału zwierzchniego.

**N. III. Okrycie z przemarszczanemi rękawami.** Ry. 63—64 w N. 1.
Fig. 13. Przód wraz ze spodnią częścią rękawa (a, b, c. d, e, f, g) 1 założenie.
Fig. 14. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa. (Forma w dwóch kawałkach).

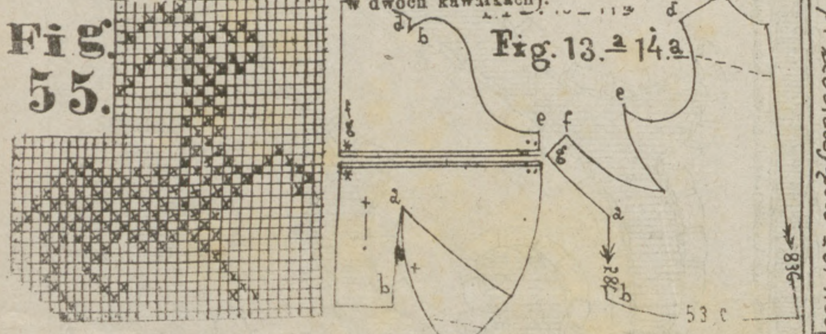


Fig. 55.

Fig. 13. a 14. a

Fig. 14. A. Górna połowa rękawa (b, d, e, f, g, *, :).
Fig. 14 B. Dolna połowa rękawa (a, b, *, :, + ·) 1 założenie.
Fig. 13a—14a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 13—14.

**N. IV. Stanik i majtki trykotowe.** Rycina 13 w N-rze 1.
Fig. 15. Przód i plecy (forma w dwóch kawałkach).
Fig. 15 A. Górna połowa (k, l, m, n, o, p, *, :)
Fig. 15 B. Dolna połowa (h, i, :, *).
Fig. 16. Połowa rękawa (k, n, q)

**N. V. Majtki zapinane.** Rycina 12 w N-rze 1.
Fig. 17. Wskazanie kroju połowy majtek.
Fig. 18. Połowa klina (*, :).

**N. VI. Kapotka.** Rycina 43—44 w N-rze 2.
Fig. 19. Połowa główki (r, s, *).
Fig. 20. Połowa rondka (r. s, × 3 i · 3 do × 9 i · 9).
Fig. 21. Wskazanie kroju połowy upięcia korenkowego (s, *).

**N. VII. Kapotka dla dziecka.** Rycina i opis w dalszych Numerach.
Fig. 22. Połowa główki (t, u, × 10 i · 10)
Fig. 23. Połowa karczka (t, u, × 11 i · 11 do × 12 i · 12)

**N. VIII. Ubrania dla lalki.** Ryc. 22—25, 32, 35—36, 40, 43, 44 w N-rze 1.
Miara modelu 48 cent. wysokości, 27 obwodu w pasie.
Fig. 24. Połowa przodu sukienki ryc. 40 w N rze 1 (v, w, z)
Fig. 25. Boczek (v, w, x, y, *)
Fig. 26. Połowa pleców (x, y, z, *)
Fig. 27. Rękaw (x, :, +, ·)
Fig. 28. Połowa przedniej i tylnej części stanu koszulki r. 43 (1, 2, 3, 4, 5)
Fig. 29. Połowa karczka (3, 5)
Fig. 30—40. Miara modelu 32 cent. wysokości, 17 obwodu w pasie.
Fig. 30. Majtki ryc. 44 (6, 7, 8, 9)
Fig. 31. Połowa przodu fartuszka ryc. 35 (10, 11)
Fig. 32. Boczek (10, 11)
Fig. 33. Połowa fartuszka ryc. 36 (11, 13)
Fig. 34. Napierśnik (12, 13)
Fig. 35. Połowa przodu i pleców kaftanika nocnego r 24 (14, 15, 16, 17)
Fig. 36. Połowa rękawa (14, 15)
Fig. 37. Połowa główki do czepka nocnego ryc. 32 (19, 20)
Fig. 38. Połowa paska (19, 20)
Fig. 39. Połowa główki do kapelusza ryc. 23 (21, 22)
Fig. 40. Połowa rondka (21, 22)

**N. IX. Czepeczek z maurytańskim haftem.** Ryc. 56—67 w N-rze 1 i ryc. 25 w N. 2
Fig. 41. Połowa formy (*, :)
Fig. 42. Połowa haftu (*, :)

**N. X. Spódnica fałdowana i karoczko do ryc. 29—30 i 41.**
Fig. 43. Wskazanie kroju połowy części fałdowanej.
Fig. 44. Wskazanie kroju połowy karoczka do stanika.

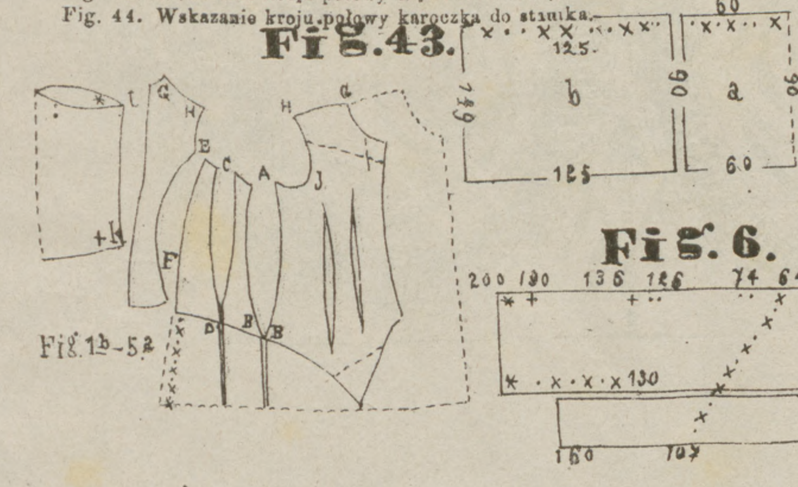
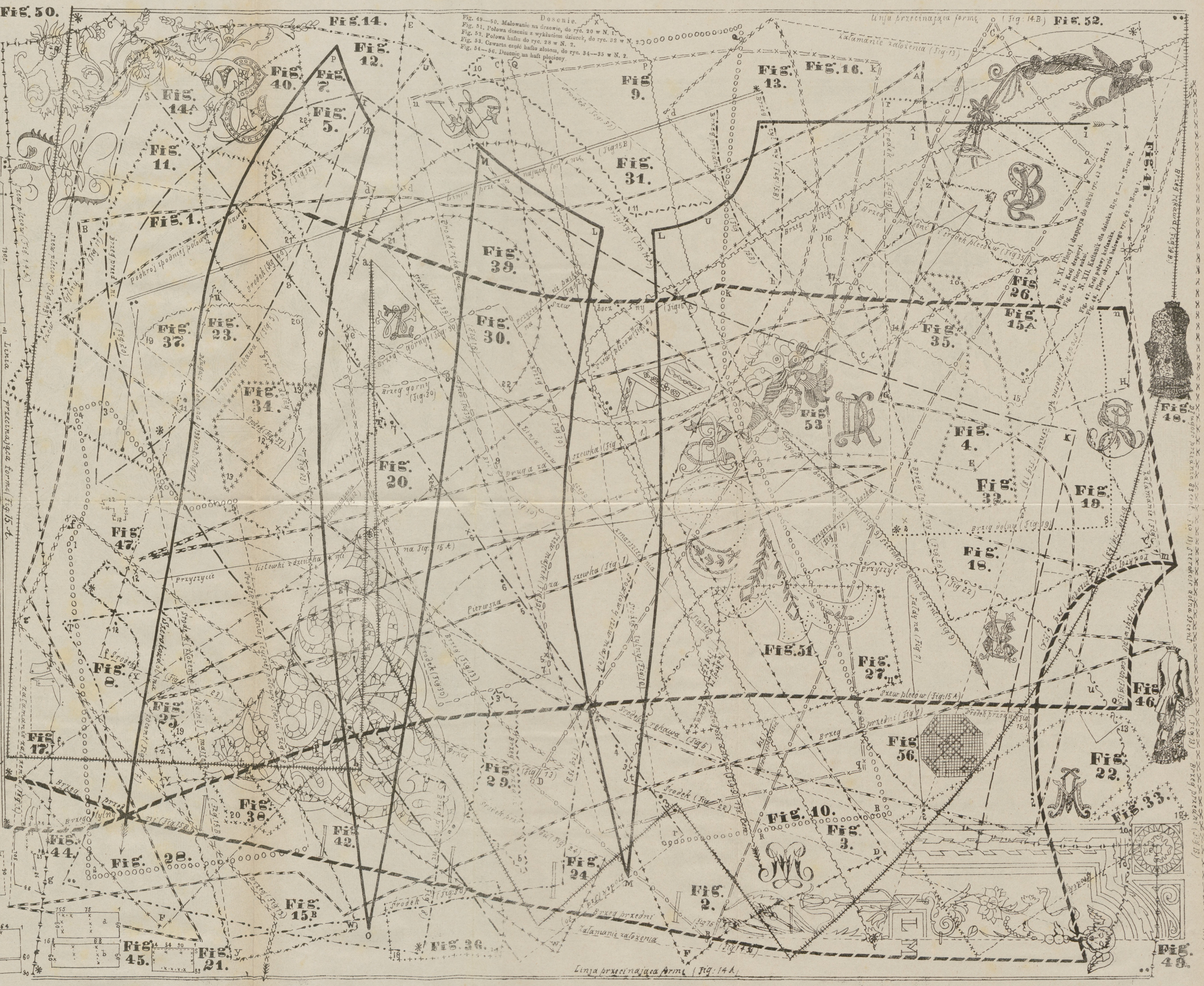


Fig. 43. Fig. 6.



**Desenie.**
Fig. 49—50. Malowanie na drzewie, do ryc. 20 w N. 1.
Fig. 51. Połowa deseniu z wykłuciem dziurek, do ryc. 32 w N. 2.
Fig. 52. Połowa haftu do ryc. 28 w N. 2.
Fig. 53. Czwarta część haftu złotem, do ryc. 34—35 w N. 2.
Fig. 54—56. Desenie na haft pleciony.

